

MYŚLISTWO WSCHODNIE

KSIĘGA PAMIĄTKOWA ŁOWIECTWA WSCHODNIEGO

156 578 III

WILNO 3. XI. 1935.

SKŁAD GŁÓWNY W TOWARZYSTWIE ŁOWIECKIM ZIEM WSCHODNICH W WILNIE



T R E Ś Ć K S I Ę G I

	str.
<i>Józef Władysław Kobylański: Św. Hubert — patron myśliwych</i>	1
<i>Bolesław Świątorzecki: O sentymencie myśliwskim</i>	4
<i>Stanisław Wańkowicz: Wspomniła babka dziewięć wieczór</i>	6
<i>K. Szirinkin: Polowanie z krykuchą</i>	8
<i>Władysław Zabięto: Gościnność kresowa</i>	13
<i>Włodzimierz Korsak: Wspomnienie o jednorożcu</i>	16
<i>Wacław Podhorski: Polowanie na wilki</i>	18
<i>Michał K. Pawlikowski: Poezja niefortunnych łowów</i>	25
<i>R. Kinle: Na ciągu (wiersz)</i>	30
<i>Józef Woyniłowicz: Kontrasty</i>	31
<i>R. Kinle: Na stanowisku (wiersz)</i>	32
<i>Witołd Ziembicki: Objasnienie fraszki Wacława Potockiego</i>	35
<i>Leopold Pac-Pomarnacki: Szkic do monografii pardwy</i>	36
<i>Jerzy Dylewski: Najpraktyczniejszy wyżeł dla kresów</i>	42
<i>Inż. L. M.: Nieco o rysiu</i>	44
<i>Adam Rzewuski: Padają, jak gruszki dojrzałe</i>	47
<i>M. K. P.: Hodowla zwierzyny na Wschodzie Polski</i>	48
<i>Krótkie dzieje Towarzystwa Łowieckiego Ziemi Wschodnich</i>	49
<i>„Trąbki myśliwskie”</i>	51
<i>Ci, co odeszli</i>	51
<i>Wykaz osób i instytucyj, które zamówiły księgę pamiątkową</i>	52

OKŁADKĘ projektował Włodzimierz Korsak.

WIZERUNEK św. Huberta na str. 1 jest reprodukcją obrazu Jerzego Kossaka (ze zbiorów kpt. J. Wł. Kobylańskiego).

FOTOGRAFJE:

Włodzimierza Korsaka: str. 3, 4, 5, 6, 10 (u dołu), 11, 13, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 26, 29, 30, 31, 34 (u góry), 35, 36, 37, 38, 39, 42, 45 (u góry), 47, 48.

Admirała Michała Borowskiego: str. 7 (ze zbiorów), 8, 9, 10 (u góry), 12, 14, 32, 33, 34 (u dołu), 40, 43, 44, 50.

Mieczysława Goryniewskiego: str. 46 (rys ubity z pod gończych).

Photo-Plat: str. 45 (u dołu).

RYSUNKI na str. 26—29 wykonał Feliks Dangel.

Redaktor: MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.

Wydawca: TOWARZYSTWO ŁOWIECKIE ZIEMI WSCHODNICH w WILNIE.



Święty Hubert — patron myśliwych



Najrozmaitsze cechy, zawody i stany obierały sobie od najdawniejszych wieków odpowiedniego świętego za patrona, pod którego sztandarem grupowały się w swej pracy. I tak patronem rycerzy został św. Jerzy, rybaków św. Piotr, straży pożarnej św. Florjan, cieśli św. Józef, łuczników św. Sebastjan i t. d. Nie pozostali też myśliwi bez swego opiekuna, a jest nim św. Hubert, którego kult w polskiej krainie trwa już około 300 lat.

Życiorys św. Huberta otoczony jest legendą. Miał on pochodzić z królewskiego rodu Merowingów. Urodzony około 655 r. wzrastał w cnotach aż do osiemnastego roku życia, kiedy to oddano go na dwór króla Frankonii, gdzie poślubił córkę Pepina z Heristal. Owocem tego szczęśliwego związku był syn Floribert, późniejszy biskup—męczennik w Liège.

Sześć lat trwało bogobojne i spokojne życie małżonków. Aż oto żona Huberta musiała odjechać do łoża umierającej matki, królowej Bathildy. Osamotniony wówczas Hubert znalazł się w towarzystwie hulaszczycy rycerzy Austrazji, które wypaczyło rychło dotychczasowy, piękny tryb życia. Hulanki, a nadewszystko bez umiaru uprawiane polowania były odtąd treścią jego nowego życia.

Aż stało się, że w dzień Bożego Narodzenia, czy jak inna legenda mówi, w sam Wielki Piątek 695 roku, Hubert niepomny uroczystego święta, uganiał od świtu z paziami i wielką psiarnią, sprawiając istną rzeź w szeregach licznej zwierzyny w lasach gór Ardeńskich. Wówczas w głębokiej i mrocznej kniei ukazał mu się wspaniały jeleń z krzyżem, jaśniejącym niezwykłym blaskiem wśród pięknych, rozłożystych rogów. Równocześnie dał się słyszeć zaziemski głos: „Hubercie! Dlaczego niepokoisz biedne zwierzęta i zapominasz o zbawieniu duszy?” Ukląkł w łowieckim ubraniu królewicz na leśnej polanie, a widząc w tem znak nieba, udał się do

Rzymu, gdzie papież Sergiusz I nadał mu godność biskupa w Liège. Kanonizowany po śmierci, stał się św. Hubert patronem myśliwych.

Dzień 3 listopada jest dniem św. Huberta.

Dowodów kultu św. Huberta na ziemiach naszych jest bardzo wiele. Trudno je wyliczyć w ramach artykułu. Wymienię tylko niektóre, starając się zwrócić uwagę na różne sposoby okazywania czci św. Hubertowi. Są to więc kapliczki, jak stojąca we wsi Miłocinie pod Rzeszowem, stara, ciekawie zbudowana, ponoć przed 300 laty przez któregoś z książąt Lubomirskich, jako wotum za cudowne ocalenie w spotkaniu z niedźwiedziem.

Małopolskie Towarzystwo Łowieckie ufundowało w kościele św. Elżbiety we Lwowie całą kaplicę św. Huberta z obrazem patrona myśliwych, pędzla K. Sichulskiego w ołtarzu. Rzeźba św. Huberta, wykonana przed 40 laty przez prof. Marcinkowskiego. Witraz św. Huberta, wykonany mozaiką włoską z kamyczków szklanych, znajdujący się w prywatnej kapliczce św. Huberta w Brennie na Śląsku Cieszyńskim.

W Muzeum Narodowym w Warszawie jest arkebuz myśliwski z końca XVII w. z rytowanymi rysunkami scen myśliwskich na zamku, między którymi widnieje widzenie św. Huberta i napis: „S. Hubertus ordinis venatorii patronus”. Książęta i magnaci budowali pałace i zamczki myśliwskie w zaszytych kniejach, przeznaczone dla myśliwych i ich drużyn, nazywając je imieniem św. Huberta. W Otwocku istnieje dom myśliwski Otwockiego Towarzystwa Łowieckiego, zwany „Hubertówką”.

Przed polowaniem w wielu miejscowościach słuchają myśliwi mszy św. ku czci św. Huberta. Mszę taką przedstawił zaiste po mistrzowsku Juliusz Kossak, ilustrując listopad w „Roku Myśliwego” Wincentego Pola. W trzeciej księdze Pana Tadeusza czytamy:

...Do księdza plebana
Dać znać — dodał pan Sędzia, żeby jutro z rana
Mszę miał w kaplicy leśnej; króciuchna oferta
Za myśliw: „i, msza zwykła św. Huberta.

Na cześć św. Huberta ustanowione były różne ordery: francuski z r. 1416, bawarski z r. 1444, czeski z r. 1723 i koloński z r. 1746. Polskiego orderu św. Huberta nie było. Królowie nasi, a przeważnie liczni magnaci polscy, byli kawalerami tych orderów, a szczególnie bawarskiego. Zakon, który ten order przyznawał, wydawał przed stukilkudziesięciu laty kalendarze formatu kieszonkowego p. t. „Calendarium inclyti ordinis equestris d. Huberti sacri”. Kalendarze te są na ziemiach polskich rzadkością, a ponieważ, między innymi, zawierają one herby kawalerów orderu, należących do wysokich rodów polskich, są więc też wartościowym „polonicum”.

Znane były ongiś nieistniejące już dziś myśliwskie psy św. Huberta, podobne do gończych.

W pismach i literaturze łowieckiej „myśliwy” to: stary sługa hubertowski, — szeregowiec lub towarzysz z pod sztandaru św. Huberta, — wierny wyznawca lub hołdownik św. Huberta, — szaraczkowy brat w św. Hubercie, — adept konfraterni św. Huberta, — miłośnik sportu św. Huberta, — pracownik na niwie św. Huberta, — orędownik kultu św. Huberta...

Kohorta św. Huberta, to rzesza myśliwych, zaś *faworyt św. Huberta*, to myśliwy, któremu się szczęści na łowach...

Las, to królestwo, a także świątynia św. Huberta. *Wystawa łowiecka*, to skarbiec św. Huberta. *Umrzeć*, to zameldować się do służby św. Huberta, lub pełnić wartę przy św. Hubercie. I wiele innych podobnych określeń istnieje w związku z czcią patrona łowów.

Wzorem dawnych wieków dzień 3 listopada, jako święto patrona myśliwych, obchodzony jest w odrodzonej Polsce uroczystością, a świętu temu przewodniczy Spala, rezydencja Prezydenta Rzeczypospolitej, gorliwego wyznawcy i rycerza św. Huberta. Przepięknie skomponowany metalowy, myśliwski znaczek pamiątkowy, wydany przez Dostojnego Włodarza Polski uczestnikom uroczystości myśliwskich w dniu św. Huberta w Spale w 1930 r., przedstawia jelenia św. Huberta.

W dniu św. Huberta odbywają się w różnych miejscach zawody myśliwsko-strzeleckie im. św. Huberta, zebrania i zabawy. Wszędzie, gdzie sport konny i myśliwski jest kultywowany, we wszystkich prawie pułkach kawalerji i klubach jazdy, odbywają się każdego roku tradycyjne kawalkady przy dźwiękach pięknej fanfary myśliwskiej św. Huberta, następnie ciężki bieg myśliwski lub bieg za lisem.

W dniu tym wreszcie odbywają się specjalnie organizowane polowania, chociażby nawet pogoda nie sprzyjała, a wieczorem zasiadają goście do stołów, pełnych różnych dań pochodzących z lasu, jakby dla zadokumentowania prawdziwości dawnego przysłowia, pozostawionego nam przez ojców naszych, doświadczonych i wytrawnych myśliwych:

Kiedy swego czasu
Goły las nastaje,
Święty Hubert z lasu
Cały obiad daje.

Józef Władysław Kobylański



O sentymencie myśliwskim

Na czym polega urok polowania, w czym tkwi sentyment, o którym wspomina ś. p. Julian Ejsmond w jednym ze swych pięknych utworów, mówiąc o łowach na Kresach Wschodnich?

Oczywiście, że nie w ilości dawanych strzałów, nie w mnogiej liczbie spotykanej i napędzanej zwierzyny, nie w łatwości jej zdobycia, a mniej jeszcze w udogodnieniach samego procesu polowania. Chociaż są to wszystko względy nie bez znaczenia, niemniej jednak dla prawdziwego myśliwego tylko o znaczeniu ubocznem.

Nie pogardzamy niemi, nie unikamy ich, przeciwnie: — w żebraczej doli współczesnego myśliwego



jesteśmy radzi, gdy szczęśliwy los chociaż niemi nas obdarza.

Mnóstwo różnych wrażeń, które odczuwamy na polowaniu, w znakomitej większości wypadków zapominamy jak sny zaraz po przebudzeniu. Nieliczne z nich tylko zapadają w duszę, a wyjątkowe pozostają w pamięci na całe życie. To też te właśnie stanowią owe cenne klejnoty, które w różańcu przeżytych przygód myśliwskich, jak wiecznie żywym ogniem lśnią brylanty, przetykają zwykłe szare paciorki.

Shczęśliwy myśliwy, gdy wiele ich zdobył, gdy w jego łowieckiem „gaudeamus”... „złoty wspomnień cały rój” już „nie zagaśnie w duszy”...

Sięgnijmy do pamięci, a niebawem się przekonamy, że nieodzownie wiążą się te wrażenia z terenami, w których zabobczość ludzka nie zdążyła jeszcze zniszczyć prawdziwego piękna pierwotnej, dziewiczej przyrody, gdzie z dechem lasu wchłania pierś

ożywcze powietrze pierwotnego jego oblicza, stanowiącego źródło i tło, z którego tylko mogły powstać podobne przeżycia!

Nie wśród kulturalnych pól i łąk, nie w sianych i sadzonych lasach, przekształconych ręką inżyniera leśnika na „powierzchnię produkującą drewno”, nie w osmarowanych lepem drzewostanach w celu połowu rozwielnionego tam robactwa, pomimo nawet największych ilości hodowanej w nich zwierzyny, gdy się lufy rozgrzewają od strzałów, gorącej zabije i „do gardła podejdzie” serce myśliwskie!

Próżnobyśmy tam tych wrażeń szukali. W tych środowiskach spotkać nas mogą tylko chwile miłe, spędzone w dali od złego miasta, szarego życia i zwykłych a dokuczliwych trosk dnia powszedniego.

„Wielkie łowy” są nieodłącznie związane z dziką przyrodą, z pewną trudnością zdobycia zwierzyny, z rozmaitością spotykanych gatunków oraz z możliwością ujrzenia przed lufą najgrubszych okazów łownego ptactwa i zwierząt, z ostępami, w których są widoki, że zamiast przewidzianego w programie szaraka, bażanta lub rogacza, wyrzy z za wykrotu trójkanciasty łeb wilka, okrągła głowa rysia, chyżym lotem przemknie biało-ruda pardwa, lub z furkotem jak duszek leśny mignie w gąszczu jarząbek.

Gdzie, z chwilą przebycia ostatniego grząskiego wyboju, przeskoczenia bryczki przez ostatni okrągłak na grobli, szczęśliwie bez połamania resorów i wykręcenie nóg koniom, zrywa się ostatnią łączność ze „światem” i zostawia się „życie” za sobą na drugim końcu karkołomnej drogi, — tam wdycha się pełną piersią ożywcze powietrze przepojone zapachem żywicy i mszarnego moczaru, łączy się w jedną wielką harmonijną całość z pięknem i potęgą otaczającej dziewiczej przyrody...

Tam, gdzie rzeka rwąc i szumiąc niesie wezbrane wody, szeroko wylewa je z brzegów, tworzy błękitne lustro, wrzynające się w nadbrzeżne lasy... Gdzie nad szerokim przestworem wiosennych wód roi się od przeróżnego ptactwa... Gdzie stada kaczek, począwszy od barwnych zielonogłowych krzyżówek, lśniących szmaragdem skrzydeł ozdobnych cyraneczek, bystrych cyranek, kolorowych bostynców i licznych wędrownych odmian, świszcząc i warcząc skrzydłami przelatują ponad powierzchnią błękitnej toni, napęlniając powietrze życiem i gwarem... Gdzie krążą u brzegów, zwołując się melodyjnym rzewnym głosem wielkie kulony, w szuwarach huczą tajemnicze baki, pary gniazdujących żorawi wygrywają głośnie fanfary,

w promieniach słońca śmigają ponad perlącemi się falami białawe rybitwy, a powyżej w błękicie krążą rybołowy i kanie... Gdzie w pobliskiej olszynie o wieczornym mroku ciągną słonki, a rój lśniących granatem cietrzewi wygrywa miłosną pieśń na sąsiedniej łące. Gdzie na mszarze, na karłowatych rozłożystych sosnach tokują głuszce, a wśród czerwieni hałych mchów śmieją się i płaczą białoskrzydłe pardwy; gdzie od pierwszej chwili przyjazdu, w odcieciu od ludzi i świata grząskami groblami, stanowiącymi jedyną drogę poprzez otaczające bajory i bagna, wzbiera serce i raduje się dusza myśliwska...

Gdzie pierwszy powiew, zwiastun przebudzającego się dnia, przeleci cichym szelestem po wierzchołkach dębów-olbrzymów, zaszumi w żółkniejących liściach, sztucer zawisnie na ramieniu, wzrok pograży się w mroku, a wąska, czarna, przysypana liśćmi ścieżyna zaprowadzi w głąb puszczy... U-o, U-o, zawabi wabiarz, a cichem echem las mu odpowie i wtem jak prąd elektryczny przemknie przez ciało, gdy rosochaty łoś stęknie w głuchym ostępie...

Gdzie las spowity białym, śnieżnym całunem; powyginane i przysypane gałęzie krzewów tworzą girlandy, iskrzące się w zimnych promieniach słońca. Jak białe kolumny stoją zadumane pojedyncze świerki, a ponad niemi zwarte, oszroniałe konary sosnowego boru. Gdzie żaden głos nie przerywa ciszy, żaden dźwięk jej nie zamąca... Słyszysz się własny oddech i bicie własnego serca — i wtem z oddali doleczą melodyjne tony myśliwskiego rogu — i znowu cisza — chwila naprężonego wyczekiwania — w głębi ostępu, na białym jego tle poruszy się szary cień, przesunie i zniknie — już idzie, zbliża się, stanął i wypatruje. Trójkanciasty łeb opuścił ku ziemi i wietrzy, podniósł głowę i skierował przenikliwy wzrok

wprost na stanowisko — zobaczy, rozpacz już duszę ogarnia — lecz nie, nie zauważył — idzie truchtem — już jest — suchy trzask sztucerowego strzału...

Tam, gdzie w gwiazdzistą noc, po oślizgłych, mchem porośniętych kładkach, poprzez rojsty i moczary wiedzie wąska drożyna, na wschodzie zapalają się świetlane blaski różowiejącej się zorzy, budzi się las, a z głębi tonącej jeszcze we mgle i mroku puszczy przemówi do nas ledwie uchwytnie pierwsze klapnięcie królewskiego ptaka, spłynie czarowna jego pieśń z tajemniczym szlifowaniem na końcu i niebawem w pierwszych przeblaskach powstającego dnia zarysuje się na tle seledynowego nieba czarna sylwetka roztokowanego koguta...

W lasach, w których jak wąż wije się kręta droga do stanowiska poprzez olchy i łozy od ostrówka do ostrówka, pokrytych wiekowymi rosochatami dębami, staremi osinami, przetkniętymi tu i ówdzie świerkami i sosną, a oko myśliwskie raduje się na widok licznych śladów łośi, dzików-odyńców oraz lekkich tropów aksamitnych łap rysia. Przed stanowiskiem piętrzą się zwały dawnego pokolenia obumarłych olbrzymów, korzenie drzew powyrywanych przez wichry i burze tworzą fantastyczne kształty, wśród których wypatruje oko myśliwskie tych miejsc, kędy mógłby się ukazać zwierz upragniony...

* * *

To są te łowiska, za którymi tęsknimy, a jest ich coraz to mniej! Przed kulturą i worywującym się pługiem ustępują puszcze — resztki ich tylko pozostały na naszych Kresach Wschodnich, gdzie też wrażliwa na piękno dusza poety wyczuła najdroższy dla nas myśliwych sentyment.



Wspomniała babka dziewic wieczór

Było to akurat sześćdziesiąt dwa lata temu, a jednak na wspomnienie tej mojej prymicji myśliwskiej serce zaczyna bić żywiej, jak u babki, gdy dzień ślubu z jego wzruszeniami w pamięci przeżywa.

Jako dwunastoletni chłopiec przyjechałem do Burbiszek w Kowieńszczyźnie do dziadostwa mego Węclawowiczów.

Wuj mój Henryk Węclawowicz był zawołanym my-



śliwym, a syn jego Zygmunt, sławny amator polowania, prawie mój jednolatek, już miał siebie za łowcę wytrawnego, który mógł się pochwalić może kopą zajęcy, parą lisów i coś tam cietrzewi i jarząbków na rozkładzie. Ja, choć też pokonałem dunstem po kilkanaście wróbli jednym strzałem, a nawet z grubego zwierza spuściłem z dziuplastej sosny dzięcioła, nigdy jeszcze na prawdziwym polowaniu nie byłem. To też z bogobojną ekstazą słuchałem opowiadań o wyczynach kuzyna, który rósł w mych oczach z godziny na godzinę, z minuty na minutę, — aż wyolbrzymiał do rozmiarów nadludzkiego bohatera.

Na trzeci dzień po przyjeździe urządzono polowanie, na które i ja miałem być jako czynny myśliwy zaproszony. Budziłem się wielokrotnie w nocy w obawie, by nie przespać, gdyż o wchodzie słońca mieliśmy już być w kniei. Jeszcze było ciemno, gdy zerwałem się na równe nogi i niebawem stałem już w całym splendorze ekwipunku myśliwskiego, gotów do wymarszu. Przez ramię wisiała torba, przez drugie — prochownica i śrutownica z automatami do wymiaru naboju oraz skrzyneczka z pistonami. W torbie był zapas kłaków i nóż do obrzynania skoków.

Wybiegłem na ganek, gdzie już strzelec Antoni

z trąbką w ręku sygnalizował odjazd, a trzy sfory gończych czarno-podpalanych pięknie mu wtórowały skacząc z radości, że z psiarni do wolnej kniei na harce się wyrwą.

Siadamy do bryki i podążamy w stronę Wazgielskiej Puszczy, ale polować mamy w rozległych a młodych brzeźniakach.

Słońce dopiero wychyliło czoło z poza horyzontu, oświecając białą, obfitą rosę.

„Będzie zalewać trop, — powiada Antoni, — ale zaraz słońce rosę wypije i gon będzie akuraty”.

Bryki się zatrzymały na niedużej polance, myśmy z wozu wyskoczyli i psy też z wesołem podszczekiowaniem.

Co którego ze smyczy spuścił Antoni, to dając głos jak śpiewak przed koncertem, — tak, dla próby, popędził w knieję.

Antoni zatrąbił i poszedł nawołując psy naprzód, a my udaliśmy się w lewo, w poszukiwaniu przesmyków. Co raz dalej słychać było nawoływania Antoniego: „O, poszukaj — poszukaj, oj, był tu — był — na, — na — na — tu — na! I znów trąbka.

Raptem cienki dyszkant Lutni odezwał się parę razy; potem grubszy głos Zagraja i bas Tubasa: zła-wiały się!

Widać szarak zerował, a że napłatał porządnie, więc pieski kręciły się widać po zalanych rosą zarostach. My tymczasem szliśmy coraz dalej, aż Zyś wska-



zał mnie rodzaj łączki: stój tu — skomenderował — i pilnuj ot stamtąd... Pozostałem sam i wnet zabrałem się do nabijania dwururki, którą od opiekuna naszego Rajnolda Tyzenhauza otrzymałem w darze.

Wsyłałem miarkę prochu, potem wtłoczyłem kłak i z rozmachem zacząłem przybijać sztenflem, aż nim sztenfel nie zaczął odskakiwać — jak sztuka nabijania każe. Następnie poszedł nabój śrutu, znowu kłak i po skończonej operacji, wsunięciu sztenfla na miejsce, założyłem oba pistony, docisnąłem je wedle „ustawy”, odprowadziłem kurki, przeżegnałem się i — z duszą i strzelbą na ramieniu obróciłem się cały we wzrok i w słuch.

Raptem psy ruszyły z oka. Antoni zatrąbił „na zająca”, a chór psich głosów, milszy tysiąc razy nawet od chóru Dana wyśpiewał cudną melodię tak, jak Kiepusa: „Ajajaj, Ajajaj, Ajajaj”.

Boże łaskawy! Czy mogłeś stworzyć piękniejszą pieśń, bardziej wzruszającą, bardziej niebiańską, jak ta pieśń kniei! Strzeliłbym do tego, któryby śmiało twierdzić, że to muzyka „pod psem”!

Na tle sopranów i tenorów, miarowo sekundował basso profundo Tubasa. Całe pole oddalało się od nas, potem zaczęło nawracać, coraz się zbliżając. Serce waliło jak... młot kowalski, dech zapierało, coraz to czapkę poprawiałem, to sprawdzałem kurki, to znów usuwałem z twarzy jakieś pajęczyny, których zresztą wcale nie było, słowem — podlegałem wszelkim objawom ostatecznego zdenerwowania.

Raptem psy ucięły. Dłuższy czas było cicho; aż znowu Lutnia głos dała i, odcyfrowawszy „klucz” szaraka, zaczęła gonić, a za nią reszta ogarów.

Wtem z pomiędzy brzózek wyskoczył szarak i siadł na jakieś trzydzieści kroków na czystej łączce. Zamarłem w bezruchu, bo tradycja rycerska (którą miałem zdobyć) nie pozwoliła mi strzelać do siedzącego. Taki już mam szlachetny charakter!

Zając siedział, kręcąc głową i nastawiając słuchy. Kombinował jak psy wyprowadzić w pole. Widocznie powziął jakiś plan, bo skręcił na 90 stopni i zaczął „kulać się” (po warszawsku: „kicać”) powolutku.

Tu nastąpiła chwila, pełna grozy i powabu: podniosłem broń do oka, „poprowadziłem”, aż wreszcie nacisnąłem cyngiel!

Stał się cud nad cudy: pierwszy mój zając drgał na trawie w przedśmiertnych konwulsjach.

Jak się rzekło, 62 lata minęło od owej chwili, a zda się widzę całą scenę, jakby była wczoraj odegrana!

Za chwilę, już opanowawszy wzruszenie, na pytanie nadbiegającego Zysia: „no co?” spokojnym gestem wskazałem na szaraka mówiąc: „a co ma być? — leży”!

Do obiadu Zyś zabił jednego zająca, ja zaś miałem szczęście wyjątkowe zabijając jeszcze dwa, ku zazdrości jawnej swego kuzyna.

Od tej chwili nabrałem piekielnego tupetu myśliwskiego i dzięki niemu zdecydowałem się napisać to wspomnienie z przed laty na łaskawe wezwanie p. Redaktora „Księgi pamiątkowej łowiectwa wschodniego”.



Polowanie z krykuchą¹⁾

(przekład z rosyjskiego M. K. P.)

Polowanie z krykuchą, mało znane na ziemiach polskich dawniej, rozpowszechniło się u nas dopiero po wojnie. Przyszło ono do nas bezwątpienia z Rosji, gdzie było i jest w wielkiej estymie. Sądzymy, że zainteresują współczesnych amatorów polowania z krykuchą uwagi i spostrzeżenia autora rosyjskiego, który, jak można wnioskować z jego pracy, przestudjował praktycznie ten rodzaj łowów.

Połowa marca. W nocy trzyma jeszcze przymrozek, lecz we dnie, pod wpływem gorących promieni słońca, skorupa śnieżna mięknie, z dachów kapie i na drogach zjawiają się szmerzące strumyki. Strumyki



spływają do jarów, stamtąd do rzek i rozlewają się szeroko po lodowej powłoce.

Prawie połowa pól zrzuciła już śnieżny pokrowiec. Zjawily się szpaki i rozpoczyna się przelot kaczek, a z nim—jedno z najciekawszych dla mnie polowań—polowanie z krykuchą. (W gubernji Riazańskiej nazwa „krikowaja utka” jest w większym użyciu, niż druga nazwa: „krugowaja utka”. Sądzę, że pierwsza nazwa jest właściwszą, bowiem charakterystyczną cechą kaczki myśliwskiej jest jej nieprzerwany, niespokojny

krzyk, nie zaś „krug” t. j. krążek drewniany na kołku u nas nieużywany, na którym kaczka ma rzekomo odpoczywać w trakcie polowania, i nie kręgi („krugi”), które ma rzekomo zataczać na uwięzi).

Z chwilą, gdy w polach pokazuje się ziemia z pod śniegu, a na drogach zjawiają się pierwsze kałuże, co u nas bywa zazwyczaj w końcu lutego lub w początku marca (starego stylu—przyp. tłum.) krykuchy zaczynają zdradzać niepokój: błądzą bez celu, próbują podlatywać, często patrzą w niebo, śmiesznie przechylając główkę, a zoczywszy w niebie przelatującego ptaka, podnoszą krzyk namiętny...

Może się im wydaje, że widzą przelatującego kaczora, a może budzi się w nich instynkt dzikich ptaków wołający ich do wolnego życia ku ich wolnym krewniakom—nie wiem. Myśliwy jednak nie ma wątpliwości, że nadszedł czas albo podciąć krykuchom lotki, albo mocno związać im skrzydła nitką jedwabną. Zresztą podobną operację nie szkodzi powtarzać w ciągu całego roku: miałem w lipcu wypadek ucieczki krykuchy na bagno o $\frac{1}{2}$ kilometra od domu. Niedawno jeden z mych przyjaciół stracił w ten sposób dwie świetne kaczki, które mu uciekły na jezioro razem z przymocowanymi do nóg linkami: jedna z nich zginęła zaplątawszy się z linką w trzcinach, drugą zaś, której udało się jakimś cudem uwolnić z linki, często widziano na otwartej wodzie w towarzystwie całego stada kaczorów. Czasem pozbyła się swych satelitów, szczęśliwie wyprowadziła młode i, zdziławszy ostatecznie, odleciała jesienią.

Krykuchy—kaczory nie opuszczają swych samic. W okresie godowym przywiązują się do nich tak dalece, że w ich obronie atakują nawet człowieka.

Praca krykuchy polega na tem, że odseparowana od kaczorów i męczona niezaspokojonym popędem—przywołuje ich krzykiem. Najbardziej charakterystycznym jest mocny i ostry krzyk¹⁾, słyszalny w cichy dzień na kilometr i dalej. Krzyk ten może być wyrażony w sylabach: „kwa, kwa, kwa, kwa, kwa”. Przy tym krzyku krykucha nieraz bije skrzydłami i usiłuje zerwać się do lotu. Krzyk ten odpowiada podnieconemu stanowi krykuchy, natomiast inny głos złożony z oddzielnych sylab: „kwak-kwak-kwak” jest odpowiednikiem stosunkowo spokojnego nastroju kaczki. Pierwszy rodzaj krzyku zwie się u nas „osadzającym”²⁾: wyraz ten bardzo obrazowo oddaje ten mo-

¹⁾ K. Szirinkin: „Ochota s krikowej utkoj”; miesięcznik „Priroda i ochota”, zeszyt kwietniowy 1898 r. — Należy dążyć do usunięcia z polskiej gwary myśliwskiej nazwy „krekucha”, jako nazwy błędnej: „krykucha” pochodzi bowiem bezwątpienia od rosyjskiej „krikuszi”, która skolei pochodzi od wyrazu „krik” (krzyk). „Krekucha” rozwieliżmożniła się, niestety, nie tylko w gwarze potocznej, lecz i w literaturze łowieckiej. Trzymanie się błędnej nazwy „krekucha” jest albo bezkrytycznym naśladowaniem cudzego błędu, albo śmiesznym dążeniem do polszczenia(!) wyrazu obcego pochodzenia. (Przyp. tłum.).

¹⁾ w oryginale—„zaliw” (Przyp. tłum.).

²⁾ w oryginale—„osadka” (Przyp. tłum.).

ment polowania, gdy krykucha słysząc głos przelatującego kaczora gra mu na nerwach całą skalą swych środków wokalnych, „osadzając” go w locie i zmuszając do opuszczenia się obok niej na wodę. Prawie żaden kaczor nie oprze się pokusie „osadzającego” krzyku: nawet ujrzawszy myśliwego zniża lot ku krykusze, lecz zwykle opamiętawszy się szybko leci w górę ¹⁾.

Przygotowania do łowów z krykuchą (koniec lutego) rozpoczynają się od odseparowania jej od kaczorów i od dobrego karmienia, niezbyt jednak obfitego, gdyż tłusta kaczka pracuje leniwie. Kaczory zamykam zwykle na ten okres do szopy zaopatrzonej w drzewi osiatkowane. Widząc kaczora, lecz nie mając do niego dostępu, kaczka krzyczy namiętniej.

Rozumie się samo przez się, że czem bardziej krykucha jest oswojona, tem lepiej. Dlatego też wskazanem jest jak najczęściej brać ją na ręce, jak również karmić z ręki, co wpływa łagodząco na jej wrodzoną płochliwość.

Polowanie z krykuchą zaczynamy ze względów, o których będzie mowa niżej, możliwie wcześniej — tak, by wykorzystać pierwsze dni przelotów. Na dwa tygodnie przed otwarciem polowania należy przyzwyczaić kaczkę do linki, zresztą dotyczy to raczej młodych kaczek, które jeszcze nie przezimowały, gdyż stare, doświadczone krykuchy tak dalece oswajają się z linką, że prawie nie zwracają na nią uwagi.

Linkę robi się z niezbyt grubego, lecz możliwie mocnego konopnego szpagatu długości około 1½ metra. Kaczkę uwiązuje się za nogę powyżej tylnego palca, robiąc t. zw. podwójną pętlę. Należy pamiętać, że konopie pęcznieją w wodzie i skręcają się, skutkiem czego linka, jeżeli nie była uwiązana dość luźnie, wpija się w skok. By uniknąć skręcania się linki nieprzyjemnego wogóle dla myśliwego, należy ją przygotować w wodzie, a następnie nasycić olejem lnianym ²⁾.

¹⁾ Przed kilkunastu laty miałem na Polesiu ciekawy wypadek. Przejeżdżałem z wabiarzem łódką po otwartem rozlewisku w poszukiwaniu odpowiedniego krzaka łoża dla nowej zasadzki. Mieliśmy wyjątkowo oswojoną kaczkę, to też nie schowaliśmy jej do kosza: siedziała spokojnie na ławeczce, a ponieważ była w „nastroju”, więc darła się na całe gardło, wydając właśnie rodzaj krzyku nazwanego przez rosyjskiego autora „osadką”. Zjawił się kaczor i nie zwracając na nas uwagi zniżył lot tak dalece, że zdawało się nam, że zaraz siądzie na wodę. Opamiętał się jednak i odleciał. Strzeliłem do niego pośpiesznie i spudłowałem. Słyszeliśmy jak siadł z hałasem na wodę. Kaczka krzyczała w dalszym ciągu bez przerwy. Nie zdążyliśmy jeszcze ukryć się w krzaku, gdy kaczor nasz zjawił się ponownie i zanim schwyciłem strzelbę już zdążył pokryć krykuchę. Padł z mego strzału dopiero po dokonanej akcji (Przyp. tłum.).

²⁾ Na Polesiu linkę przymocowuje się do nogi krykuchy bądź za pomocą specjalnej pętli zrobionej z miękkiej skóry, bądź też szpagatową pętlę nakłada się nie bezpośrednio na nogę, lecz za parokrotnie okręconą cienką szmatkę (Przyp. tłum.).

Tak więc od końca lutego krykucha spaceruje po podwórzu z linką na nodze i karmi się z ręki ¹⁾.

...Kosz dla noszenia krykuch jest spleciony z wierzbowych prętów, ma on 1/2 metra długości, 1/4 m. szerokości i około 1/4 m. wysokości. W takim koszu mieszczą się niezbyt wprawdzie wygodnie 2 kaczki i 1 kaczor. Kosz opasany jest rzemieniem przeciągnię-



tym przez boczne uszka samego kosza i jego pokrywy. W ten sposób pokrywy nigdy się nie zdejmują całkowicie, lecz tylko uchyla. Jeżeli kosz jest spleciony zbyt szczelnie, wtedy wskazanem jest sporządzić w nim parę okienek. Do ekwipunku myśliwego trzeba dołączyć zwykły nóż ogrodniczy dla ścinania gałęzi przy sporządzaniu budki, jak również — woreczek z prosem. Mam zwyczaj sadzać krykuchy do kosza z już przywiązanymi do nóg linkami, wprawdzie zdarza się, że się linki w koszu poplączą, jednak łatwiej będzie je rozplątać, niż przymocowywać na chłodzie i w pośpiechu.

Szczśliwy wybór terenów do polowania zależy w równej mierze od znajomości miejsca, jak i od myśliwskiego węchu wyrobionego przez praktykę. Trudno tu dać jakąś radę szczegółową. Wiedzą dobrze wędkarze, że bywają zakątki wprost zapraszające do zarzucenia wędki. To samo wie i myśliwy: zanim stanie na łące i zanim wyżeł jego trafi na świeży trop, on już wie skąd należy oczekiwać zwierzyny. Naogół biorąc najbardziej udane polowanie bywa w pobliżu linii masowego przelotu ptactwa t. j. zwykle niedaleko większych rzek i sąsiadujących z nimi jezior.

Późną wiosną, gdy kaczki siedzą już na jajach, polować można z powodzeniem w pobliżu miejsc gniazdowych, gdzie zwykle wałęsają się osierocone kaczory.

Jeżeli chodzi o wybór samego miejsca, gdzie mamy zasiąść z krykuchą, to konieczną jest chociażby nieduża przestrzeń otwartej wody. Dobrze, gdy w pobliżu rosną krzaki i drzewa, zwłaszcza krzaki mogą posłużyć za podstawę dla przyszłej budki, przy-

¹⁾ Opuszczam mało ciekawy ustęp dotyczący ekwipunku myśliwego (Przyp. tłum.).

czem budka mniej będzie się rzucała w oczy, niż w miejscu zupełnie otwartem¹⁾.

Krykuchę-kaczora uwiązanego linką do palika sadza się o 15—20 kroków za budką koło jakiejś kałuży, do której rzuca się garść prosa. Koniecznym jest, by kaczka nie widziała kaczora, gdyż w przeciwnym razie zamiast krzyczeć głośno będzie się odzywała cicho i pieszczotliwie. Kaczki—(nadmieniam, że najlepiej brać ze sobą 2 kaczki, by móc polować



bez przerwy na zmianę; ponadto dwie kaczki wyprawią istny koncert: gdy jedna milknie, zaczyna krzyczeć druga) — otóż kaczki uwiązane za nogi linką do palików umieszcza się na wodzie w odległości 15 kroków od budki. Kaczka pływając nieraz zaplącze linkę w trawie, to też im mniej dokoła trawy, tem lepiej²⁾. Umieściwszy krykuchę należy sprawdzić, czy

¹⁾ Opuszczam ustępy dotyczące opisu miejscowości, gdzie autor osobiście polował w gub. riazkańskiej, jak również bardzo szczegółowy opis urządzenia budki. Ten drugi ustęp opuszczam w mniemaniu, że każdy myśliwy potrafi postawić budkę. Zresztą na bogatych w zarośla łozowe rozlewiskach wiosennych Polesia często, jak wiadomo, budek wogóle się nie sporządza. Budkę zastępuje tam odpowiednio gęsty krzak łoży sterczący nad wodą. W takim krzaku myśliwy chowa się razem z łódką. W ten sposób nie tylko oszczędza się fatygi i zachodów, lecz ma się jeszcze tę przyjemność, że w ciągu jednego polowania można w miarę potrzeby kilkakrotnie zmieniać miejsce zasadzki. Niestety jednak, zarówno na Polesiu, jak i zwłaszcza w innych stronach Polski, często bez budki nie można się obejść. Sporządzając budkę należy zgóry zdecydować, czy się rezygnuje ze strzałów w lot, czy nie. W pierwszym wypadku trzeba budkę budować niezwykle szczelnie, gdyż kaczory mają świetny wzrok i niewielki nawet „ażur” zdradzi obecność myśliwego, zwłaszcza, że niewiadomo, z której strony kaczor nadleci. W drugim wypadku trzeba uszczelniać tylko dół budki i tę jej stronę, z której siedzi krykucha, zostawiając otwartą górę. W tym wypadku trzeba być w ciągłym pogotowiu i pilnie wypatrywać niewidzialnego jeszcze, lecz oznajmającego się głosem nadlatującego kaczora, bowiem (z reguły) kaczor, który już raz zoczył myśliwego, już drugi raz nie przyleci (Przyp. tłum.).

²⁾ Trzeba starać się wybierać miejsce wolne od trawy i przytem możliwie głębokie z innych jeszcze względów: nie ulega wątpliwości, że krykucha krzyczy nie tylko wskutek niezaspokojonego popędu płciowego. Jak słusznie zauważa Wł.

można na odległość strzału przejść po wodzie do ubitego kaczora; jeżeli nie—trzeba zawczasu przygotować długą tykę dla przyciągnięcia ubitych kaczorów. Najczęściej kaczor siada w taki sposób, że krykucha znajduje się pomiędzy nim a budką i dopiero potem podpływa bliżej. Zresztą pod koniec sezonu kaczor siada obok kaczki i nawet poprostu na kaczkę; wówczas najwygodniej strzelać go po zerwaniu się, gdyż po dokonaniem spółkowaniu najczęściej zaraz zrywa się w górę. Ważnem jest zapamiętać dobrze miejsce, gdzie się posadziło krykuchę, zarówno by nie strzelić przez omyłkę do kaczki miast do kaczora, co się zdarza częściej niżby się to mogło zdawać, jako też, by łatwiej odnaleźć kaczkę, gdy się ściemni.

Po wejściu do budki należy zorjentować się w kierunkach najdogodniejszego obstrzału. Co się tyczy pozycji budki odnośnie stron świata, to trzeba pamiętać, że polując wieczorem najwygodniej, rzecz prosta, strzelać na zachód, rankiem—na wschód.

W skali wzruszeń myśliwskich polowanie z krykuchą porównać mógłbym tylko z ciągiem słonek. Namiętny ostry krzyk kaczki, basowe syczenie przełatującego gdzieś we mgle kaczora, to zbliżający się, to oddalający się świst jego skrzydeł, wreszcie — szereg wspaniałych „osadzających” krzyków krykuchy i hałas siadającego na wodę kaczora — wszystko to przyprawia mnie o gorączkowe drżenie. A następnie: wyobraźcie sobie pięknego kaczora w cudnym stroju godowym, gdy śmiało i szybko pruje wodę brązową piersią przy akompaniamencie pieszczotliwych wołań



krykuchy, spłaszczonej na wodzie w namiętnej oczekiwaniu. A wszystko to tak blisko, że dostrzec można błysk agatowych oczu upragnionego gościa.

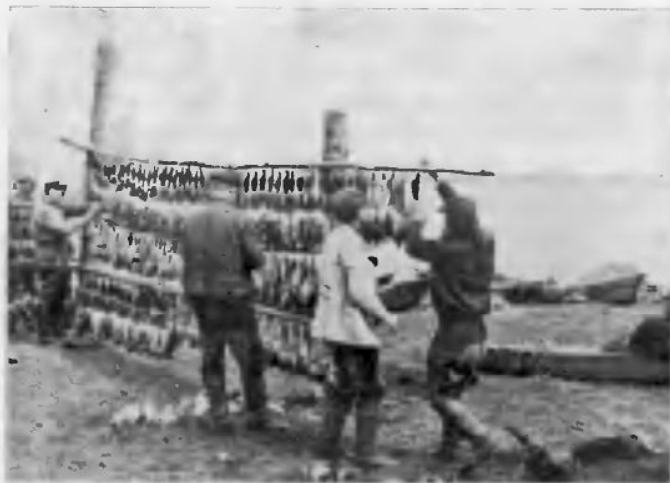
Korsak, krzyczy ona również „z nudów i przyzwyczajenia”. Otóż nieraz się zdarza, że krykucha nie będąca „w nastroju” i posadzona na miejscu płytkim i zarostem trawami ustawicznie nurkuje w poszukiwaniu żeru i jest tem tak zajęta, że albo odzywa się rzadko i głosem jakby zachrypniętym, albo wogóle milczy jak zaklęta, co myśliwego nie będącego wabiarem i nie mającego ze sobą dobrego wabiara przyprawić może o czarną rozpacz (Przyp. tłum.).

Zwykle po polowaniu o zorzy wieczornej nocuję w gajówce odległej o parę kilometrów od terenu polowania. Zakopcone i wilgotne ściany, twarde i wąskie ławy nie dają zbyt dużego komfortu, lecz jakże przyjemnie i mocno śpi się po trudach wieczoru spędzonego na chłodzie wśród budzącej się do życia przyrody. A w międzyczasie pod ławką cicho odzywają się zmęczone krykuchy pijąc z misy wodę, do której się wrzuciło parę garści prosa. Na ranne polowanie należy wybrać się z takim obliczeniem, by zasiąść w budce o pierwszych blaskach świtu. Przy zbyt wczesnej zasadzce myśliwy naraża się na istne męki Tantala, gdy strzelać jeszcze nie można, a już widać na wodzie ciemne sylwetki pływających kaczorów. W podobnych wypadkach należy cierpliwie czekać, aż się rozwidni. Myśliwy bywa często sownie nagrodzony za cierpliwość, mając możliwość strzału do dwóch kaczorów, które spłynęły w jedno miejsce.

Polować z krykuchą można cały dzień, lecz najlepszą porą jest świt i zmierzch.

Wśród myśliwych naszych panuje pogląd, który zresztą całkowicie podzielam, że w początku przelotów kaczory lecą oddzielnie od kaczek i przytem na parę dni wcześniej niż kaczki. Dlatego też staramy się nie przepuścić pierwszych dni przelotów. W tym okresie nieraz kaczory nadlatują do krykuchy całymi stadkami (po 8—12) i wogóle z braku konkurencji samicy na zew krykuchy o wiele wrażliwsze, niż w okresie rozbijania się na pary. Nie wiem ile jest prawdy w opowiadaniu, które słyszałem, że w powiecie Morszańskim, gdzie polowanie z krykuchą jest wielce rozpowszechnione i popularne, hodują myśliwi uczone kaczory. Zadaniem ich jest odbijanie dzikich kaczorów, które już znalazły sobie pary. W tym celu uczone kaczory mają krążyć nad wodami i wracać do

cha krzyczy wtedy nie gorzej niż wiosną, a na jej zew nadlatują zarówno kaczory, jak i kaczki wszelkich gatunków, przyczem kaczory krzyżówki wykazują nawet tendencje do spółkowania, czego jednak nigdy osobiście nie obserwowałem; zresztą i na wiosnę zdarzają się wypadki, że do krykuchy przysiadają się ka-



czory—rożeńce, a nawet cyranki, te ostatnie zresztą nie zbliżają się nigdy do krykuchy, lecz siedzą nieruchomo w pewnym oddaleniu, jak gdyby się dziwiły poco usiadły¹⁾.

Polowanie jesienne jest niemniej ciekawe, niż wiosenne, lecz osobiście nie pasjonuje mnie ono zbyt, gdyż połowa sierpnia jest okresem polowania na kszyki. Polując wieczorem zwykle siedzę w budce do chwili zapadnięcia zmroku, poczem stoję za budką i strzelam do nadlatujących kaczorów, nie czekając aż siądą. W takich wypadkach polowanie z krykuchą mało się różni od zwykłego polowania na ciągu kaczek, bywa jednak znacznie obfitsze, gdyż sznury kaczek ciągną nie w dowolnych kierunkach, lecz na zew krykuchy. Dniem jesienią nie zdarzyły mi się udatne polowania.

Tyle o technice polowania z krykuchą. Teraz chciałbym powiedzieć słów kilka w obronę samego polowania. Wskutek niepojętego dla mnie nieporozumienia wszechrosyjski zjazd myśliwych uznał za dopuszczalne polowanie na tokach głuszcowych i cietrzewich oraz na słonki na ciągu, natomiast w odniesieniu do ptactwa wodnego, jeżeli chodzi o łowy wiosenne, dopuścił wyłącznie polowanie na gęsi i łabę-



krykuchy razem z zebraniem w ten sposób stadem dzikich kaczorów.

Jesienne polowanie z krykuchą zaczyna się w połowie sierpnia (w końcu sierpnia now. st. — przyp. tłum.), gdy już kaczki gromadzą się w stada. Kryku-

¹⁾ Przyłot do krykuchy wiosną na Polesiu najróżnorodniejszych gatunków kaczorów jest zjawiskiem częstym. Często zwłaszcza nadlatują rożeńce i hostynce. Nieraz przylatują kaczory cyranki. Osobiście widziałem dwa razy (raz na Polesiu, drugi raz na Wileńszczyźnie) przyłot wiosną do krykuchy krzyżówek—samicy, a raz jeden (na Polesiu) samicy rożeńca. Prócz tego na jeziorach Wileńszczyzny obserwowałem niejednokrotnie, jak do krykuchy podpływały perkozy, trzymając się jednak od niej w odległości kilkunastu kroków. Sądzę, że wypadki takie należy objaśnić instynktem towarzyskim u pewnych gatunków ptaków (Przyp. tłum.).

dzie, grzebiąc tem samem polowanie z krykuchą. Wszak jeszcze S. T. Aksakow wykazał ile szkody przynoszą kaczozy w okresie gniazdowania kaczek, zdawałoby się, że sprawa jest tak jasna, że mówić o niej jeszcze—znaczyłoby powtarzać komunały. Nie ulega wątpliwości, że kaczki nie bywają nigdy jałowe z braku kaczorów. Jest to prawda, którą nie trudno sprawdzić: krykucha pozostawiona wiosną bez dozoru na odpowiednim terenie obdarzy nas po pewnym czasie jajem od dzikiego kaczoza. W r. 1896 zamknąłem cztery kaczki z jednym kaczozem zastosowawszy pewne środki ostrożności, by kaczoze nie obdarzył swemi względami wyłącznie jednej z nich, w rezultacie każda kaczka zniosła zupełnie wystarczającą ilość jaj. W stadku kaczym zawsze więcej jest kaczorów: jak zaobserwowałem stosunek samców do samic wyraża



się w przybliżeniu, jak 5 do 4. W okresie niesienia się kaczki opuszczają nieraz gniazda i udają się na wody otwarte: te, które nie zniosły jeszcze pełnej ilości jaj—w poszukiwaniu kaczorów, inne, które już siedzą na jajach—dla żeru. Kto tylko widział z jakim wprost okrucieństwem i natarczywością nadskakuja im wtedy kaczozy (na jedną kaczkę przypada wtedy po kilka kaczorów), ten zgodzi się, że musi być jakaś klapa bezpieczeństwa dla odprowadzenia tego nadmiaru namiętności samczej. Rolę tej klapy spełnia z powodzeniem właśnie polowanie z krykuchą.

Muszę nadmienić, że ani mnie, ani moim kolegom myśliwym nie zdarzył się nigdy wypadek strzelania wiosną z pod krykuchy do kaczki, nie zdarzył się z tej prostej racji, że nigdy kaczka do krykuchy nie przysiadła ¹⁾).

¹⁾ patrz wyżej odsyłacz ¹⁾ (Przyp. tłum.)

Komentarz tłumacza. W niewątpliwie ciekawem studjum rosyjskiego autora godne podkreślenia są, zdaniem mojem, następujące momenty:

- 1) Autor zupełnie słusznie podkreśla, że najlepszym okresem polowań z krykuchą jest bardzo wczesna wiosna, gdy się przeloty dopiero zaczynają. Okoliczność ta bywa u nas często zapominana lub ignorowana.
- 2) Opowiadanie autora o „uczonych” kaczorach w pow. morszańskim należy włożyć między bajki...
- 3) Opisane przez autora jesienne polowania z krykuchą, są o ile mi wiadomo, zupełnie w Polsce niepraktykowane. Mniemam, że myśliwi nasi powinni wypróbować ten sposób łowów i wrażenia swoje opisać na łamach czasopism łowieckich.
- 4) Kategoryczne wywody autora co do „klapy bezpieczeństwa” w postaci polowań z krykuchą należy dziś uznać za nieco jednostronne. Popierwsze wyczuwa się, że autor był pod wpływem zwolenników „poprawiania” przyrody przez człowieka... Nie należę bynajmniej do przeciwników polowań wiosennych, w szczególności uważam, że umiarkowany odstrzał kaczorów z pod krykuchy o wiele mniej czyni szkody w zwierzostanie, niż tak popularne u nas dotąd letnie polowania na kaczki, których ofiarą padają w pierwszej linii starki. A jednak, skromnem zdaniem mojem, zbyt intensywny, załatwiający rekordomanją odstrzał kaczorów z pod krykuchy jest jedną z przyczyn (naturalnie: w szeregu wielu innych przyczyn) obserwowanego u nas w Polsce od kilku lat systematycznego zmniejszania się ilości kaczek.
- 5) Godnem uwagi jest, że autor ani słówkiem nie wspomina o — że tak powiem — posiłkowem wabieniu kaczorów przez przewoźnika—wabiarza obok lub zamiast krykuchy, która nieraz milknie na czas dłuższy. Jak wiadomo — na Polesiu dobry wabiarz jest o wiele cenniejszym towarzyszem myśliwego, niż najlepsza nawet krykucha. Może się zdarzyć, że najlepsza krykucha jest niedysponowana i milczy jak zakłeta: wtedy w grę wchodzi dobry wabiarz, a krykucha jest tylko „żywym bałwankiem”. Osobiście najlepsze rezultaty miałem z dobrym wabiarzem przy milczącej nieraz krykusze.

Gościnność Kresowa

Wbrew zasadom gramatycznym, wskazującym, że tylko przymiotniki podlegają stopniowaniu, życie, a właściwie współżycie z ludźmi każe mi ten przywilej w znaczeniu pojęciowym przenieść na jeden z rzeczowników: — gościnność.

W ten sposób — w moim przekonaniu — każdy gościnny człowiek uosabia wogóle gościnność; wybitnie gościnny Polak odpowiada słynnej w świecie narodowej gościnności; wreszcie mieszkaniec naszych Kresów Wschodnich zasługuje ze wszechmiar na specjalne pod tym względem wyodrębnienie, jako najgościnniejszy z Polaków, a tem samem urabiający obywatelstwo pojęciu gościnności kresowej.

W moich od lat najmłodszych szerokich i licznych wędrówkach po kraju nie z jednego pieca, jak to mówią, chleb jadłem, poznałem więc wiele okolic, ich właściwe tło duchowe i stosunek mieszkańców do przybysza gościa. Otóż, nie odejmując nic staropolskiej gościnności, która wszędzie znajduje swój swoisty wyraz w naszym kraju, gdy zajeżdżałem na Kresy Wschodnie uderzała mnie swą prostotą i serdecznością, nieurabianą żadnymi względami interesu ani konwenansu, czysta, jak łza, pierwotna, a głęboka i subtelnie odczućta gościnność kresowa.

Jeżeli dzisiejsze czasy wyolbrzymiania realnych wartości i troski o jutro stały się przyczyną uśpienia wielu tradycyjnie kultywowanych światła i blasków duchowej skarbnicy człowieka, to niewątpliwie cień czarnych barw dnia dzisiejszego padł w pierwszej

Więcej powiem, te ośrodki skupień ludzkich, które z tych czy innych względów są ośrodkami życia umysłowego i kulturalnego w społeczeństwie, które przodują innym, oddalonym zakątkom ostatnim wyrazem współczesnej cywilizacji — w wysiłkach swych, utrwalających zadanie krzewicieli największych zdobyczy technicznych, naukowych i t. p. — „płowieją”



częstokroć duchowo, odbiegają od kultu dawnych naszych tradycji, tak wysoko stawiających ozdoby duszy ludzkiej, które obok cnót są jej najpiękniejszemi kwiatami. A więc przedewszystkiem uśpioną tam bywa uprzejmość, prostota i wdzięk oddawania się bez celu na czyjeś usługi — gościnność.

Gościnność bowiem tych skupień i najbliższych im okolic jest jak gdyby wykwittem nowoczesnej kultury, uwarunkowanej dobrem wychowaniem. Gościnność wschodnio-kresowa to wynik potrzeby duchowej.

Gościnność Wschodnich Kresów uderza swą prostotą formy i bezpośredniością, odpowiadając najbardziej może znanym przysłowiom polskim o gościnności, rytym na tradycyjnych talerzach do chleba: „gość w dom — Bóg w dom”, „czem chata bogata, tem rada”.

O ile w pewnych, coraz rzadszych dziś warunkach bogactwa i przepychu pałaców i dworów wielkopolskich napisy te stały się tylko symbolem utartych i przyjętych form wielkoświatowej gościnności, o ile jako symbol także utrzymały się w niektórych domach w całym kraju, o tyle są one właściwą treścią, dosłownym wyrazem gościnności wschodnio-kresowej zarówno w bogatszych dworach, jak w każdym najskromniejszym dworku, w każdym domu rodzinnym w miastach, a nawet pod strzechą.



linji na ten jeden z najsubtelniejszych jej produktów, ujawniający się w bezpośrednim, a nie przymusowym, częstokroć nawet przygodnem, wzajemnem stykaniu się i obcowaniu z sobą ludzi.

Być może, że ta ostatnia tradycję staropolskiej gościnności niesie w sobie rozpędem lat odległych i dawnych, wywodząc swe istnienie w najprostszej linii od zamieszkującej dawne zaścianki ludności, dziś przemieszanej wyraźnie z najprostszym wieśniactwem, ze stanem najzupełniej chłopskim.

Dość, że tak jest, że gdziekolwiek na Kresach Wschodnich znajdzie się przybysz, doznaje radosnego zdziwienia ze swego tam w różnych okolicznościach przyjęcia przez gospodarzy.

A choćby największe trudy łączyło w sobie to przyjęcie przygodnego znajomego, trzeba widzieć, jak radośnie tradycja gościnności jest wypełniana, jak



opromienia twarze świadczących ją, jakby stęsknionych do wylewu z głębi serc tej jak gdyby niedość przestronne znajdującej uście ich duchowej potrzeby.

Nawet zrujnowanie porządku całego domu dla wygodnego przenocowania gościa, choćby w krąg tego trudu wciągniętą być miała cała spokojnie i jak w zegarku żyjąca rodzina, staje się w kresowym domu tak naturalną ofiarą gościnności, że niepodobna wymówić się od przyjęcia.

Gościnność u stołu, niestrzelająca snobizmem przepychu, ani rumieniąca się fałszywym wstydem z powodu swej choćby najskromniejszej szaty, zniewała do zakosztowania i spożywania wszystkiego, „czem chata bogata”.

I jeszcze przybywa za to nagroda: radosne, szczere, niehamowane „maską kultury” podniecenie gospodarzy za wdzięczne przyjęcie tego przez ich gościa.

Zaopatrzenie kogoś w niezliczone, ledwie z bła-

ganiem pohamowane przez przyjmującego, zapasy na drogę (coprawda to i drogi tam są odpowiednio długie i uciążliwe) należy do ceremonii odstawienia kogoś do stacji kolejowej, lub innego celu podróży. I t. d., i t. d.

Dosyć dużo poluję na Wileńszczyźnie, w odległych od Wilna okolicach i na Polesiu. Zdarza mi się tam często być przygodnym gościem. Zarówno pan leśniczy wielkich dóbr, jak gajowy w swej zapadłej gajówce, jak pan wójt — całą gębą gospodarz swej gminy, jak pierwszy lepszy dwór szlachecki po drodze, jak wreszcie dom inteligenta, pracującego zawodowo w jakimś miasteczku — nie różnią się w intencjach i zasadach pojmowania gościnności.

Nieco przykładów zilustruje lepiej teoretyczne moje twierdzenia.

Wielki pałac. Właściciel — odrośl polskich pionierów tej ziemi, stojących na straży duchowego zrozumienia jej potrzeb, noszący ją w sercu, jak relikwię. Samotny, nieco mizantrop. Człowiek niezwykle wykształcony, utalentowany, form zewnętrznych prostych, serdecznych — kresowych. Zaprosił dwóch gości na polowanie, sam nie polując. Jeden z nich — to gość starosty, gospodarzowi dotąd nieznamy. Udają się do puszczy, w pałacu są przejazdem. Gospodarz wita, prowadzi sam każdego do przeznaczonego dlań pokoju, wskazuje przyległą łazienkę, oznacza godzinę wieczornego posiłku, ale pyta, czy nie chcieliby go przełożyć na późniejszy termin — to mu żadnej nie robi różnicy.

Przy stole. Gospodarz nie pije, ale przepija do gości, częstuje i zaprasza przy każdej potrawie. Po posiłku prosi na pogawędkę do bawialnego pokoju. Otwarte radio skierowuje rozmowę na tematy muzyczne. Gospodarz zapytuje, czy goście lubią muzykę bezpośrednią, amatorską. Na twierdzącą odpowiedź sam daje długi koncert.

Nazajutrz odsyła gości daleko do lasu, oddając ich gościnności swych podwładnych. Toki głuszcowe. W głuchej puszczy znajdzie się wszystko, czem pałac — chata bogata. Codziennie przez telefon troszczy się gospodarz o powodzenie gości. Jeden z nich przez kilka dni jeszcze wachlarza nie zdobył.

— Zatrzymać, panie leśniczy, nie wypuszczać — musi zabić.

Powrót. Przez telefon goście wyrażają przedtem już swoją wdzięczność za wspaniałe polowanie i przyjęcie; żegnają się — nie wstępują, gdyż są „zapuszczeni”, nie chcą czynić kłopotu, a i sami się już śpieszą. Zgoda. Ale na stacji, leżącej w pobliżu pałacu, gospodarz jest i wita, i żegna zarazem, rad bardzo, że się powiodło. Zaprasza na przyszły rok. Jedzie do Wilna, więc jedną stację razem, a nie pojechał, jak planował wczoraj, gdyż chciał osobiście żegnać.

Małe miasteczko — osada. Mieszkanie doktora-kobiety. Synowie zagranicą. Córka w domu, ale przy gospodarstwie rolnem. Gospodyni choruje nieuleczal-

nie na serce, przestała nawet palić, choć to ciężko przychodzi; dziś czuje się gorzej.

Przygodni goście — małżeństwo — z trojgiem dzieci w wieku szkolnym, którzy przed swym wyjazdem z letniska, obranego w pobliskim folwarku, przybyli się pożegnać. W tych warunkach chcą się natychmiast wycofać.

Gospodyni nie chce o tem słyszeć — zaraz będzie herbata, bez tego niepodobna — właśnie podwieczorkowa pora. Odmowa byłaby wprost brakiem istotnej sympatii.

I za pół godziny podana jest już herbata z samowaru, z dziesiątkiem przeróżnych ciast, ciastek i słodczy, z owocami. O stół trudno się oprzeć, tak jest pełno.

Gospodyni ożywia się — opowiada o synach. Dzielni chłopcy, pracują już na siebie — jeden w Afryce — niedługo mają urlopy i odwiedzą matkę na Kresach polskich.

Gospodyni mówi dużo, miłym głosem, oczy jej promieniają. Zapala papierosa i wypala ich kilka. Już jest jej lepiej. Na dziś serce pewne.

— To państwo tak wpłynęli...

*

Dwór szlachecki. Państwo X i dużo, dużo ciotek, babek, rezydentów — dzieci własne i rodziny z miast. A teraz oto jeszcze goście — i z dziećmi. Ci sami państwo, którzy żegnali doktorkę.

Całe popołudnie upływa na zwiedzaniu ogrodu i wesołej gawędzie o wszystkim. Pokazywane są także miejscowe osobliwości: oswojone, płasające na zawołanie żorawie, drugoroczny koziołek, który jest wprawdzie w zagrodzeniu, ale w takiej kondycji, że stał się już szóstakiem, o pięknych, wysokich, ciemnobronzowych parostkach, zdobnych wspaniałymi różami.

Dzieci wyczyniają niesłychane, wesołe, gwarne harce i prowadzą gry. Starsi uczestniczą wzrokiem, ale pod wpływem radosnego nastroju porywają się także do udziału w zabawie.

Kolacja. Dwadzieścia kilka osób przy stole. Stół jest pełen zastaw — goście muszą wszystkiego skosztować. O północy odjazd. Żeby dzieciom gości przedłużyć miłe, sympatyczne spotkanie z miejscowymi i jeszcze czemś miłym dla nich obdarzyć, pan domu każe wyościć sianem wielki, drabiniasty wóz, sam siada za woźnicę i wiezie liczne młode towarzystwo kilkanaście kilometrów. Z powrotem zdąży zaledwie na jakąś piątą rano.

*

Podczas polowania. Znużony ciężkim terenem w upalne, sierpniowe popołudnie, myśliwy z War-

szawy oddziela się od miejscowych towarzyszy, aby usiąść gdziekolwiek i wypocząć. Gdy ochłonął, zaczyna mu się jeszcze bardziej chcieć pić. I psu także. Wieś o dwieście kroków. Myśliwy podchodzi do pierwszej z brzegu chaty. Jakaś niewiasta samotnie zajęta jest suszeniem lnu. Spostrzegła zbliżającego się — przerywa pracę — przygląda się.

— Pan pewno pić chce — gorąco.



— Tak, możebym mógł dostać trochę mleka.

Zjawia się zimne mleko z piwnicy, potem bez nowej prośby woda dla psa w glinianej misce.

Kobieta przygląda się pijącym wciąż z tym samym miłym uśmiechem i wdziękiem. Bo wdzięk jeszcze posiada mimo czwartego krzyżyka i codziennej od dzieciństwa pracy.

Myśliwy opróżnił kilka szklanek i zapytuje, ile jest winien za mleko.

— Za mleko? Panie, czy ja krowie płacę?!

Proste, ale wymowne.

Równie wymowne, jak rozkaz, dany leśniczemu, aby nie wypuszczał gości z puszczy bez wachlarza; jak papierosy, palone przez chorą na serce doktorkę, której przy takim lekarstwie, jak goście, już wcale nie szkodzą; jak „własnoręczne” wożenie nocą gości-pędraków cały szmat drogi przez zbliżającego się do pięćdziesiątki ziemianina, jak tysiąc innych najprostszych, serdecznych, żywiołowo rzucanych objawów gościnności przez całą ludność Kresów.

Przykłady takie można snuć bez końca.

I one to z pewnością stanowią w dużej mierze o tem, że kto raz odwiedził te ziemie, pragnie tam bywać często, jak najczęściej, a choćby i pozostać nazawsze.

Szczera serdeczność bowiem przywiązuje ludzi najbardziej.

Wspomnienie o jednorożcu

Jesienią 1909 roku sprawy moje ułożyły się tak, że dopiero pod sam koniec wabia łośi mogłem się wybrać w knieje poleskie do przyjaciela mego Woyniłowicza, dokąd corocznie na te łowy bywałem zapraszany.

Gdy po długiej drodze stanąłem na miejscu, był już 23 września, a blade słońce jesienne złościło puste



już pola. Zaraz pierwszego wieczora wyruszyłem w las w towarzystwie wabiarza Nielubowicza, specjalisty w swym fachu, przebiegłego znawcy obyczajów łośiowych.

Leniwe wody Moroczy niosły nasze lekkie czółno, popychane pojedynczym wiosłem. Siedząc na wiązce siana, śledziłem nieskończone zakręty rzeki, to czarnej od cieni nawisłych nad wodą olszyn, to jaśniejącej odbiciem błękitu od strony łąk.

Wjechaliśmy na miejsca świeżo trzebione. Z wyciętego lasu, tworzącego dalej od rzeki zwartą błotną gęstwinę, pozostały tu nieliczne słabsze drzewa, pasma krzaków łoży i młodej olszyny, smugi trzciny, a gdzieś niedługo jasnemi lukami błyskały małe łączki, wykoszone i ubrane stogami siana.

Pozostawiając czółno w nadbrzeżnej łoży, szliśmy ku zwartej ścianie puszczy, nawisłej wysokim błękitnym cieniem nad otwartą przestrzenią. Na sto metrów od lasu, na małej łączce, otoczonej gęstwiną łoży i olchy, wdrapałem się na stóg siana i siadłem okrakiem na jego czubku, trzymając się za biały brzeziniowy drąg, sterczący pośrodku.

Słońce właśnie zaszło i żółta zorza wieczorna, mieniająca się deseniem przejrzystych opalowych i liljowych chmur, stała przede mną nad dalekim horyzontem obramowanym siną wstęgą bezbrzeżnych lasów.

Nielubowicz zawabił. Głuche stęknienie potoczyło się nisko nad zroszoną ziemią i wróciło, odbite od ściany lasu. Jeszcze parę urwanych dźwięków i cisza nastała, tylko nieustanny pobrzęk tysięcy komarów wibrował przewlekłą monotonną nutą. Łagodnym gruchaniem o dziwnie tęsknej modulacji oznajmiło się nadlatujące na nocleg wśród łąk stadko żórawi i piękne sylwety zamajaczyły na jasnym tle nieba. Sinym pasem wstającej mgły znaczyła Morocz w oddali swój bieg, nad otwartymi łąkami poczynały snuć się nieuchwytnie białe zjawy.

Coś ciemnego w oddali zwróciło moją uwagę i lorneta ukazała mi w swym wyraźnym polu parę łośi, idących krokiem w stronę rzeki. Białymi błyskami znaczyły się wśród traw i trzciny ruchy badyli, jednak na tę odległość nie mogłem dojrzeć poroża byka, którego domyślałem się w drugiej sztuce.

Dałem znak Nielubowiczowi i wab rozpoczął się na nowo. W chwili ciszy ucho złowiło daleką odpowiedź, niby echo odbitych dźwięków. A więc jest byk... Ręka kurczowo zacisnęła się na szyjce trójłufki, a oczy, wbite w ciemne morze gęstwin, z natężeniem śledziły każdy ruch.

Znów stęknienie, znacznie bliższe. Niski ton dźwięku wskazuje na sztukę niemą, wartą strzału.

Wabiarz oddalił się w przeciwną stronę i łamiąc gałęzie, znów zawabił, poczem nastała długa cisza. Tylko koncert komarów w powietrzu, a w piersi serce



wali, jak młot, podchodząc aż pod gardło i pulsując w skroniach.

Jeszcze chwila i na pięćdziesiąt metrów z poza gęstwin wysunęła się nagle olbrzymia ciemna postać zwierza i zamarła w bezruchu. Nie trzasnęła gałązka, nie zaszumiały trawy, łoś zjawił się nagle i cicho, jak

duch. Było już dość ciemno i lorneta pokazała mi tylko coś nieuchwytnego nad wzniesionym czujnie łbem. Wielkości poroża, a tembardziej ilości pasemeków dostrzec nie mogłem.

Po chwili oczekiwania łos ruszył znowu naprzód, kierując się naukos ku memu stogowi. Wnet srebrna muszka oparła się o łopatkę, huknął strzał i biały słup dymu wytrysnął w stronę zwierza. Przygotowany na dwie ewentualności, upadek albo ucieczkę, zdębiałem w pierwszej chwili, widząc łosia kroczącego dalej tym samym powolnym krokiem, zwróconego teraz zupełnie bokiem, nie dalej niż o 30 metrów. A więc jeszcze raz! Trzęsącą się ręką wsunąłem nabój do lufy, drugi strzał zagrzmiał, ale rezultat był ten sam. Łos szedł dalej wolno, odwracając się teraz tyłem.

Będąc pewien, że trafiłem, chciałem raz jeszcze strzelić, więc znowu nabiłem dolną lufę i wziąłem zwierza na cel. W tej samej jednak chwili łos zatrzymał się, rozkraczył zad i zwałił się ciężko na bok, aż plusnęła błotna woda.

Zsunąłem się ze stoga i w parę sekund byłem już przy zdobyczy. Pochyliłem się nad olbrzymim łbem i serce zamarło mi w piersi. Ujrzałem tylko duże ośle ucho—poroża ani śladu! Łosza?! Niemożliwe, bo wab słyszałem, i coś majaczyło mi nad jego głową. Więc cóż u licha!

W tej chwili nadbiegł Nielubowicz i też stanął jak wryty, poczem spojrzał na mnie i otworzył usta, nie mogąc słowa przemówić. Wnet jednak ochłonął, uchwycił łosia za ucho i ciągnąć zaczął łeb w górę. Cmoknęło czarne błoto i oczom naszym ukazała się duża łopata o 6 pasemkach, wbita z impetu w ziemię i niewidoczna zupełnie zgóry.

Rozpoczęły się oględziny. Druga łopata była ułamana tuż u nasady i to głęboko, jakby z kawałkiem kości czaszkowej. Na jej miejscu widniała czarna ociekła zastygła krwią jama, mającą u spodu czemś białem, co przy bliższym zbadaniu okazało się masą mózgową! Obejrzenie łopatki pokazało dwie komorowe kule, siedzące o parę centymetrów jedna od drugiej. Widocznie wstrząs śmiertelnego strzału odjął łosiowi zupełnie przytomność, a automatyczny ruch posuwania się naprzód był bezwiednem przedłużeniem uprzedniego równego kroku.

Nielubowicz określił to po swojemu, mówiąc: „Musić jemu tak po pierwszej kuli gorońco zrobiło się, że uciekać nie mog”.

Trzeba było pomyśleć o noclegu. Na samej granicy starego lasu znaleźliśmy małą suchą wysepkę.

Wnet rozgorzało wesołe ognisko, a z otaczających ciemności wystąpiły ku nam najbliższe, jaskrawo oświetlone pnie olch i wiszące naksztalt strzechy świerkowe gałęzie.

Jeszcze chwila — nad ogniem zawisnął imbryk z wodą i rozpoczęła się zwykła obozowa krzątania. Zadymity rozwieszone przy ogniu suszące się onucze, a Nielubowicz ostrugiwał patyk do pieczenia nad płomieniem łosiej wątroby.

Jak się okazało z dalszej rozmowy, o parę kilo-



metrów od miejsca strzału znaleziono dwa dni przedtem nieżywego, ciepłego jeszcze łosia, zabitego w walce z rywalem, można więc było przypuszczać, że zwycięzcą w tym boju był właśnie ten mój łos, który utracił tym sposobem swą łopatkę, a sam z kolei uległ największemu wrogowi—człowiekowi.

Jak krótkie marzenie minęła noc w lesie, jedna z moich niezliczonych, z których każda jest drogocenną perłą w różańcu wspomnień. A potem nadeszło zamglone jesienne świtanie, promienny słoneczny poranek i dzień, niby jeszcze letni, pełen ciepła i słońca, a jednak stojący u kresu dojrzałości, nasiąkły przeżuciem jesieni, nieuchwytną tęsknotą zamierającej na zimę przyrody.

Wysepka, na której nocowaliśmy, bezimienna dotychczas, nazwana została „ostrówkiem łosiowym” i znana jest pod tem mianem u miejscowej ludności. Dziś miejsce to leży o parę kilometrów zagranicą i pomimo najszczerzych chęci niema możliwości odwiedzić ten uroczy zakątek, przypomnieć sobie na miejscu te silne wrażenia, przeżyć raz jeszcze we wspomnieniach niezatarte chwile.

Polowanie na wilki¹⁾

Wyrzucony poza nawias ustawy łowieckiej, tępiony, traktowany jako rabuś i szkodnik, wilk jest najpiękniejszym przedstawicielem naszej zwierzyny łownej. Potęga jego zmysłów i rozum zmusza myśliwego do użycia całego arsenału wiedzy, techniki i doświadczenia łowieckiego dla zdobycia tego pięk-



nego trofeum. Gdzie wilki, jak na terenach głębokiej Rosji, przebywają masowo, słusznie mogą być uważane za klęskę. Tam człowiek, wiedziony instynktem samoobrony, nauczył się walczyć z tym wrogiem i tam właśnie ukształtował się zastęp takich specjalistów „pskowiczów”, o których my w naszych stosunkach pojęcia nie mamy. Gdzie wilk, tak jak u nas, masowo nie przebywa, klęską ludności nie jest, a wszystkie szkody, przypisywane wilkom są przesadzone i nie daleko odbiegają od szkód, czynionych przez inne drapieżniki, nawet drobne jak lis, a tembardziej takie jak ryś, który mimo to jest pod ochroną prawa. Przesadę tę zilustruję przykładem: w rewirze od ośmiu lat postawionym na właściwym poziomie organizacji łowieckiej, stan liczebny wilków z roku na rok się powiększa. Równorzędnie powiększa się i to bardzo znacznie stan liczebny sarn. Nie będę twierdził, że pomnożenie się wilczego rodu wpływa dodatnio na sarny, ale fakt rozmnażania się wykazuje, że usunięcie największego szkodnika — człowieka i psa, wystarcza, by te dwa rodzaje zwierzyny łownej mogły, bez widocznej szkody dla strony słabszej, współżyć i prosperować równorzędnie.

Nie wiem jakby wypadło porównanie szkód,

wyrządzanych na polach przez dziki, lub w kulturach leśnych przez jelenie; czy wartość tych zniszczonych urodzajów i drzewostanów nie przewyższyłaby czasem wartości tych świnek i owiec, spożywanych przez nasze wilki?

Ale pominę te względy ekonomiczne i przejdę do sentymentu łowieckiego. Wilk to najpiękniejszy i najtrudniejszy do zdobycia nasz zwierz łowny, a dostępny wobec swego rozpowszechnienia dla szerszego ogółu myśliwych. Trzeba tylko umieć na niego polować.

Poza nielicznymi posiadaczami naszych północno-wschodnich łowisk, dla ogółu myśliwych wilk jest zwierzyną łowną nową, „powojenną”.

Wszystkie moje uwagi i spostrzeżenia, którymi mogę się podzielić, dotyczą południowo-wschodnich naszych Kresów, przeważnie Polesia Wołyńskiego. Tu wilków przed wojną nie było, a tylko w zależności od zimy przywędrowywały ze wschodu. Przed wojną polowań na wilki w tych stronach nikt nie organizował: jeżeli od czasu do czasu padł jakiś wilk, to zwykle wpłątany przypadkowo w inny rodzaj polowań, a o prawidłowym polowaniu na wilki nikt pojęcia nie miał, nie wyłączając kłusowników i straży łowieckiej. Wilk wogóle nie stanowi obiektu pożądań kłusownika i wszyscy nasi kłusownicy wyspecjalizowani do



dzików, głuszców i łosi, wilkiem się nie interesowali; zbyt mało ich było, a pozbawiony wilka nie przedstawia żadnego ekwiwalentu mięsa.

Miejscowa ludność boi się wilka, nienawidzi go, daje chętnie pomoc przy polowaniu na niego, ale sama go nie tępi, bo nie umie. Jedyną klęską dla wszystkich tych, którzy tak jak ja, traktują wilka nie jako

¹⁾ Fragment z mającej się wkrótce ukazać w druku książki tegoż Autora p. t. „Organizacja łowiectwa na kresach.”

rabusia, którego należy tępić, a jako najpiękniejszy okaz naszego łownego zwierza, jest niszczenie na wiosnę gniazd przez pastuchów. Mam nadzieję, że nowelizacja naszej ustawy łowieckiej da nam możliwość ten proceder ukrócić¹⁾.

Po wojnie wilki przestały być u nas przejściowymi gośćmi i zagospodarowały się na dobre. Nikt, jak nadmieniałem, polować na nie nie umiał. Jeżeli chodziło o wystrzelanie niewyrośniętych szczeniaków, to od biedy miejscowi „ochotnicy” dawali sobie z tem radę, ale o jakiegokolwiek prawidłowej procedurze polowania nie było mowy. Zacząłem więc od abecadła uczyć się całkiem nowej dziedziny łowiectwa. Teoretyczną wiedzę zawdzięczam Szanownemu Autorowi monografii o wilku Bolesławowi Świętorzeckiemu; praktykę odbyłem w towarzystwie tej miary autorytetu, jakim jest Maurycy hr. Potocki i dziś już szeregi lat praktyki pozwala mi podzielić się zdobytym na tem polu doświadczeniem.

Zwierzynę każdą dzielimy w naszych pojęciach na stałą i przejściową. Dla wilka wypośrodkowałbym nazwę zwierzyny półstałej. Jedynie chyba posiadacze olbrzymich, do setki tysięcy hektarów dochodzących terenów, mogliby określić ilość posiadanych wilków w swych rewirach. Przeciętne rewiry łowieckie, mające po kilka, a nawet po kilkanaście tysięcy hektarów, nie są w stanie sprecyzować tej obsady. Można mieć stałe gniazda wilcze, a nie móc, lub częściej nie umieć utrzymać ich w zimie i odwrotnie, nie mając gniazd, można doprowadzić do tego, że się w zimie będzie miało odstrzał. Zależne to jest przede wszystkim od warunków terenowych i umiejętnego dokarmiania wil-



ków. Jakie są granice wilczych wędrówek i jak daleko wilk odchodzi od miejsc lęgowych, nie jest i przypuszczam nie może być ściśle sprecyzowane. Zależne to jest całkowicie od lokalnych warunków alimentarnych. Osobiście mam sprawdzony fakt na-

stępujący: mając rewir dzierżawiony w odległości 40 kilometrów w prostej linii od stałego mojego rewiru, skonstatowałem w tych dwóch rewirach kolejną obecność stada wilków. Mogłem to skonstatować, dzięki



jednej sztuce, która, mając skaleczoną łapę, dawała zupełnie swoisty trop, wykluczający wszelką pomyłkę.

Rozpatrzę początkowo organizację wilczych terenów, a następnie przejdę do procedury samych polowań.

*

Do organizacji terenów zaliczam: wyszkolenie odpowiedniej jakości i ilości straży łowieckiej, zaprowadzenie stałej kontroli rewiru i racjonalne dokarmianie wilków.

W miejscowościach, gdzie wilki przed wojną nie były nawet zwierzyną półstałą, starzy „ochotnicy” nie nadają się zupełnie do tego rodzaju łowów. Nadzwyczajni tropiciele wszelkiego zwierza, z którym się od dzieciństwa, stykali, z wilkiem rady sobie dać nie mogli. Zwróciłem się więc do młodszej generacji, która znacznie łatwiej dostosowała się do wymagań całkiem odmiennego rodzaju polowań.

Tropić wilki można tylko po białej stopie. Warunki atmosferyczne odgrywają dominującą rolę, ale powrócę do nich przy omawianiu samej procedury polowania. Nawet przy sprzyjających warunkach atmosferycznych, tropienie jest zawsze trudne, a umiejętność orjentowania się w wilczych tropach wymaga specjalnej rutyny. Wilk, jako stworzenie wyjątkowo mądre, stara się albo nie pozostawić po sobie tropu, albo tak go zaplatać, że trudno jest czasem w nich się rozeznać. Niema takiego miejsca, огоłoconego ze śniegu, pokrytego lodem lub wodą, niema przemarzniętej koleiny, tropu innego zwierza, a nawet ludzkiego, któregoby wilk nie wykorzystał dla postawienia łapy. Wilk o ile sam nie poluje, bo wtedy idzie ławą, idzie zawsze trop w trop i tak dokładnie, że nie sprawdzisz miejsca, gdzie się tropy rozchodzą, trudno określić ilość sztuk. Nierzadko wilk powraca

¹⁾ Niestety—nie! (Przyp. Red.).

własnym tropem, a przy sypkim i głębokim śniegu trudno bywa określić nawet kierunek. Przytoczone przykłady wystarczają, by dać obraz tych trudności, na jakie napotyka tropiący wilki i jaką musi mieć wprawę i rutynę, by się nie poplątać i dobrze wywiązać z zadania.

*

Móc się dokładnie orjentować w ilości wilków, które się ma do dyspozycji w danym sezonie, uważam



za jedno z ważniejszych zadań organizacyjnych danego terenu. Organizacja, którą posiadam, zbyt jeszcze jest młoda, bym mógł już dzisiaj podzielić się cyframi i wykresami. Być może, że za lat kilka będę już w posiadaniu materiału, który da pewną ciągłość i z którego można będzie wypośrodkować ciekawe wnioski. Dotychczasową organizację oparłem na tej zasadzie, że bez względu na to, czy polowanie ma być urządzone, czy nie, — musi być dzień po dniu sprawdzony ruch wilczy. Zadaniem straży łowieckiej jest określić ilość sztuk każdego stada oddzielnie, miejsce, którem weszły, wyszły, lub w którym zaległy, a także—które wilki zatrzymały się przy padlinie. Ściśle poza tem notuję zmiany atmosferyczne i okres ciecarki. Uwzględniając wszelkie przegrupowania w czasie i po zakończeniu tego okresu, oraz odstrzał, przekonałem się, że cyfra wilków ujawniona w pierwszych trzech tygodniach nie podlega wahaniam. Już dziś mogę stwierdzić, że ruch wilczy nie jest przypadkowy, a jest skoordynowany. Są partje, które przez rewir stale przechodzą, a nawet przy ewentualnem zaleganiu, wychodzą zawsze nie wejściowymi śladami, a inną drogą, ale stale w tym samym kierunku. Inne znów uważają rewir jako punkt prekluzyjny swojej wędrówki, bo powracają stale wejściowymi śladami. Zauważyłem pewną kolejność, pewną rotację tych wędrówek. Dana partja wilków trzyma się w bezpośredniem sąsiedztwie rewiru, lub zalega pewnymi okresami. Później znika i, jeżeli niema raptownych i znacznych zmian atmosferycznych, to okresy te są dość regularne. Wilki

nawet po dłuższych przerwach powracają drogą dawnego wejścia, co dowodziłoby, że mają okólne, wytknięte szlaki.

*

Takie obserwacje mogą być robione tylko przy równomiernem, intensywnem i umiejętnem dokarmianiu. Jakie kardynalne znaczenie ma dokarmianie na ujednolinitenie tego ruchu, przekonał mnie jakiś anonimowy przyjaciel, który jedno ze stałych miejsc kładzenia padliny polał naftą; wszystkie utarte kierunki i miejsca zalegania wilków natychmiast się zmieniły. Duże znaczenie mają silne mrozy, bo w tych okresach wilk rzadziej do padliny podchodzi; widocznie zmarznęte na kość mięso mu nie wystarcza; wilk wtedy jest bardzo ruchliwy i rzadko zalega. Okres ciecarki mniej jaskrawo się odcina, a zmienia się tylko przegrupowanie oddzielnych stad. Dobór miejsca dla kładzenia karmy ma wpływ decydujący na szanse zapoławiania na wilki. Jeżeli się dobrze zna teren, jeżeli nawet nie tak dokładnie, jak to opisałem, zbada się miejsca ich normalnych zalegań i przejść, jeżeli się uwzględni odpowiednie oddalenie od osiedli, dróg uczęszczanych i granic rewiru, to wtedy nietrudno zrobić wybór odpowiedni. Rozpoczynać dokarmianie należy z chwilą, gdy bydło przestaje wypędzać na pastwisko. Kłaść padlinę należy na zupełnie otwartej przestrzeni, najlepiej pod lasem na polu. Przekonałem się, że wilk, jako stworzenie wyjątkowo podejrzliwe, chętniej podchodzi do padliny, która leży niedaleko



dróg uczęszczanych, jak do takiej, którą się wywiezie w głąb rewiru, gdzie niema żadnego ruchu. Najlepszym naturalnem miejscem są stare bydłce cmentarzyska, na które zdawien dawna każda wieś wywozi wszelkie padłe sztuki.

*

Praktykowane są u nas dwa odrębne rodzaje polowań. Polowanie na otropione wilki z fładrami

i polowanie wczesną jesienią na młode wilki. Ostatniego rodzaju opisywać nie będę, bo pomimo niezaprzeczonego kunsztu łowieckiego, którego wymaga to polowanie, ma ono zbyt wiele cech tępienia wilków i tego procederu, który uprawiają u nas na wiosnę pastuchy.

Organizowanie polowań zbiorowych na otropione wilki na oznaczony z góry termin uważam za bezcelowe, bo niema takiego łowiska, na którymby wilki stałe zalegały. Poza tem wpływ decydujący mają warunki atmosferyczne, a tych nikt do potrzeb chwili regulować nie może. Są to okoliczności, które wielu myśliwym, ograniczonym czasem, uniemożliwiają to polowanie.

Ale są i tacy myśliwi, którzy nie będąc skrupowani czasem, wolą łatwiejsze sposoby zdobywania trofeów i wprowadzili inną procedurę, umożliwiającą zbiorowe polowania. Procedura ta polega na zamykaniu wilków w sznury, trzymaniu ich w takim zamknięciu, zależnie od okoliczności, dwie, a podobno nawet i trzy doby na to, by myśliwi mieli czas z dalszych stron wygodnie zjechać, w pół godziny zakończyć programem przewidziane strzelanie do wilków i z trofeami lub bez nich powrócić najbliższym pościągami do domu. Pomijając to, że taka procedura z prawdziwym polowaniem, dającem wszystkie emocje i przeżycia łowieckie, niema nic wspólnego, wywiera ona fatalny wpływ na późniejszą możliwość wykorzystania łowiska. Jak zgubny jest ten system świadczy następujący przykład: w przededniu przyjazdu na polowanie gości, mając wilki, które zalegały, zdecydowałem się wziąć je w sznury. Posiadając zaledwie 2400 metrów sznurów, powodowany nieuzasadnioną ambicją, chciałem dowieść, że w tak niewielkiej przestrzeni, bo niespełna dwudziestohektarowej, którą musiałem z dużego ostępu wyciąć, potrafię wilki osznurować i przetrzymać. Każdy znawca należycie oceni trudność takiego wyczynu. Ambicja moja całkowicie została zaspokojona; wyczyn udał się znakomicie, goście byli zachwyceni, wilki mniej,—a skutki okazały się żałosne. Był to jeden z najlepszych moich ostępów, w którym wilki bardzo często zalegały i z roku na rok miały tam gniazdo. By móc w tak małej przestrzeni wilki utrzymać, użyłem bardzo praktykowanego sposobu — polałem sznury naftą. Do tego rewiru, mimo, że to był początek zimy, żaden wilk więcej się nie zbliżył, nie zaległ nawet żaden w sąsiednich rewirach, a gniazda od tego czasu już tam więcej nie mam.

*

Prawidłowe polowanie z fladrami na wilki organizuje się inaczej na terenach dzikich, to jest na takich, na których poluje się tylko dorywczo, a inaczej na zorganizowanych i dobrze znanych. Na terenach nieznanymi procedura jest bardzo trudna, a wynik zawsze problematyczny. Niema przedewszystkiem najważniejszego

współczynnika, ułatwiającego i regulującego to polowanie—prawidłowego dokarmiania. Niema wskaznika, gdzie wilki upodobały sobie miejsca stałego zalegania. Wilki są bardzo ruchliwe, bo głodne, a zaleganie ich uzależnione od przypadkowego zbiegu okoliczności.

Wszelkie ad hoc robione przygotowania w rodzaju kładzenia padliny przed samym okresem polowania, są bezcelowe. Wilk dłuższy czas, nawet będąc głodnym, nie dotknie położonej padliny. Zwykle zadają taką padlinę w miejscu źle obranem. Chcąc zrobić jak najlepiej, obierają zaciszne, głuche, dobrze osłonięte miejsce i zwiększają tem tylko nieufność wilków. Zauważyłem nieraz, że w ten sposób położona padlina całą zimę przeleży nietknięta, a wypadkowo gdzieś padły koń przy uczęszczanej drodze, czasem pod samą wsią, w parę dni zanęci wilki.



Procedura takiego polowania polega na mniej lub więcej skutecznej pogoni za wilkami. Możliwe to jest przy minimalnym współudziale myśliwych i niezbędnego personelu, bo ekspedycja, przekraczająca liczbę dwóch do trzech furmanek, jest zbyt ciężka. Wymaga ona dużej rutyny całego zespołu i orientacji w nieznanym terenie. Normalnie ekspedycja taka wyrusza w dwie strony, starając się zrobić jak największy krąg. Jeżeli wilki w danym kręgu zatrzymały się to zaczyna się trudna i precyzyjna robota, — wycinanie ostępu na nieznanym terenie. Wymaga to wielkiej znajomości rzeczy i instynktu łowieckiego, a najmniejsza nieostrożność, zbytne zbliżenie się do legowiska, niweczy całodzienny trud, bo wilki wyczuwszy niebezpieczeństwo, cichaczem się wynoszą, dalsze zaś uganie się za takim ruszonem stadem jest bezcelowe. Utrudnia ten rodzaj polowania krótki zimowy dzień. Normalnie dochodzi się do sznurowania ostępu już pod wieczór, a wtedy zwykle płata przykre figle pośpiech uzasadniony obawą utraty plonu całodziennych trudów. Najmniejsza nieostrożność, najmniejsze niedociągnięcie marzenia o wilkach rozwiewa. Nieza-

przeczenie ten rodzaj polowania ma wybitne cechy pierwotnych łowów, zbiorowej walki człowieka z najrozumniejszym naszym stworzeniem łownym. Dostępne to jest nie tylko dla znawców i amatorów tego rodzaju ekspedycji, ale wymaga też dużej sprawności fizycznej, by podołać trudom i mieć dostateczną odporność na chłód i głód. Iluzji sobie robić nie można. Nie jest to kilkugodzinna majówka, po której powraca się do



stołu zastawionego smakołykami i miękkiego łóżeczka. Te kilkanaście godzin spędza się na trzaskającym mrozie, by na noc dobrać do jakiegoś improwizowanego noclegu w mniej lub więcej ogrzanej chałupie, a wiązka siana musi miękkie łóżeczko zastąpić. Rezultat takich łowów bywa niewspółmiernie mały, ale zato bogactwo wrażeń i przeżyć łowieckich niewspółmiernie duże.

Opisałem dwa krańce. Bierny odstrzał zamkniętych w sznury wilków, gdzie myśliwy bez najmniejszego wysiłku, bo za niego wszystko zostało zrobione i pomysłane, dochodzi lub nie dochodzi do udanego, lub nieudanego strzału. Drugi opis, to temat dla powieści Curwooda.

*

Polowania w zorganizowanych łowiskach, nie mając cech biernego odstrzału, nie wymagają jednak takiego wysiłku energii, jak poprzednie. Zorganizowane łowiska też nie nadają się do urządzania zbiorowych polowań na oznaczony z góry termin, wobec tej samej zawsze zależności od warunków atmosferycznych, bo chyba żadne polowanie nie jest tak od nich zależne, jak właśnie polowanie na wilki.

Wielu niedoświadczonych myśliwych jest tego przekonania, że byleby śnieg był, to już wystarcza i na wilki zapolować można. Śnieg jest konieczny, ale nie może go być za mało, albo za dużo; wystarczy przy normalnej pokrywie kilka dni mroźnych bez opadów, by przy najstaranniejszym zacieraniu tropów, już mieć poważne trudności przy ich rozeznawaniu. Nieznaczny opad po północy uniemożliwia wykorzystanie dnia. Wiatr, który się mało od-

czuwa koło siedzib ludzkich, potrafi zmiatać przemarzniętą wierzchnią warstwę śniegu i zatrzeć wszelkie ślady, a potrafi on czasem dłuższymi okresami płatać przykre figle.

Utarło się przekonanie, że najodpowiedniejszym warunkiem atmosferycznym jest świeża ponowa. Niezupełnie się z tem zgadzam; o ile świeża ponowa upraszcza i wyklucza pomyłki przy tropieniu, to z drugiej strony unieruchamia wilki. Nieraz konstato- wałem, że bezpośrednio nawet po wielkich opadach śnieżnych wilki tropu nie dają. Wilk, o ile jest nażarty, to dwie, a nawet trzy doby nie rusza się z legowiska. Za najodpowiedniejsze warunki atmosferyczne uważam odwilż przy obniżaniu się temperatury w nocy co- kolwiek poniżej zera, przy sporej warstwie pokrywy śnieżnej, przy dniu pochmurnym, a nawet mglistym. Ma się wówczas precyzyjną fotografię tropów, jak po najlepszej ponowie, wilk chętnie zdąży do odma- rzającej padliny, miękki tający śnieg umożliwia cichy podjazd i zaciąganie sznurów, a zachmurzenie, lub mgła ułatwia maskowanie się na stanowisku. Jedyna zła strona takich dni, że wilk późno zrana zalega, a bardzo wcześnie z wieczora już jest w ruchu, a przy zachmurzeniu dzień się jeszcze skraca.

Silny mróz i wyiskrzone słońce ogromnie utrud- niają polowanie. Wilk niechętnie idzie do przemarz- niętej padliny, a wtedy zaleganie nigdy nie jest pew- ne. Poza tem dominujące zmysły wilka: wzrok i słuch znakomicie mu służą, bo rezonans mroźnego dnia jest ogromny, a błysk słońca na lufie naszej broni jest świetną ostrzegawczą latarnią dla wilka.

*

Procedurę samego polowania dzielę na trzy momenty: otropienie, osnurowanie i pędzenie.

O niezbędnych kwalifikacjach straży łowieckiej i o technice tropienia już nadmieniałem; obecnie zwrócę uwagę na niezbędne skoordynowanie samej procedury tropienia z czasem i przestrzenią. Czas jest bardzo ograniczony, bo rozpoczynać tropienie przed godziną ósmą rano jest wielką omyłką. Wilki mogą jeszcze chodzić i spotkawszy się z człowiekiem blisko nie zalegną, a godzina czwarta, to prekluzyjny termin dania strzału. Ten ośmiogodzinny dzień jest bardzo krótki, jeżeli weźmiemy pod uwagę, jakie mamy prze- strzenie do przebycia i zlustrowania.

Zasada prawidłowego wzięcia miotu polega na tem, by wilki wyszły na linię myśliwych nie zoba- czywszy sznurów. Sznury, w prawidłowo wziętym mio- cie, winny spełniać swoje zadanie dopiero po pierw- szych strzałach.

Znając dobrze teren, wyprowadzić wilki na dany numer jest bardzo efektowne, ale nie jest to tak wielką sztuką, jak niejednemu mniej doświadczonemu myśliwemu się wydaje. Zrobić to samo na zupełnie nieznanym terenie, to co innego. Tego rodzaju wy-

czynny znane mi są tylko z opowiadań o legendarnych pskowiczach. Wybór kierunku pędzenia jest zagadnieniem bardzo ważnym. O ile się zna las i przesmyki, to wybór nie jest trudny. O ile się lasu nie zna, to trzeba się orientować podług świeżych i starych tropów. Wrazie wątpliwości trzeba pędzić na wejściowy trop. Ale może się zdażyć, że warunki terenu lub wiatru na to nie pozwalają. Warunki terenu są tak rozmaite, że trudno uogólniać jakąkolwiek zasadę. Wrazie złego wiatru wynika zagadnienie, czy poświęcić przesmyk, czy wiatr. Dotąd trzymałem się tej zasady, że przy bocznym wietrze szanowałem przesmyk; przy wietrze w kierunku miotu, szanowałem wiatr, poświęcając weksel. Używam czasu przeszłego, bo tę moją teorię zachwiał tej miary autorytet, jak Szanowny Autor monografii o wilku, który, zaszczyciwszy swoją obecnością polowanie na moich terenach, obstawał przy swojej teorii bezwzględного poświęcania wiatru, a szanowania przesmyku, motywując to tem, że węch u wilka jest zmysłem mniej rozwiniętym. Mimo, że w danym wypadku, który wywołał tę dyskusję, wynik raczej przemawiał na korzyść mojej tezy, zbyt jest wielki autorytet p. Bolesława Świętorzeckiego, bym się przy niej stanowczo upierał. Broniąc tylko mojej tezy dodam, że przy nieuszanowaniu wiatru, wilk łatwo może nas posłyszeć. W zimie rezonans bywa duży, a wilk słuch ma wyjątkowo ostry. Jestem przekonania, że wilki, jakbyśmy się cicho nie zachowywali, zawsze od strony wiatru mogą usłyszeć naszą obecność. Wilki, szczególnie jeżeli są obżarte mogą się nie ruszyć, ale uprzedzone o obecności ludzi, obierają przeciwny kierunek. Dlatego przy bocznym wietrze bardzo jest ważne nie sznurować obu stron jednocześnie, a stronę, która wypada z wiatrem, należy rozpocząć sznurować dopiero po ukończeniu przeciwnej.

*

Po obraniu kierunku miotu należy rozstawić myśliwych, którzy winni być od tej chwili przygotowani na to, że wilki mogą ruszyć przed zaciągnięciem sznurów. Co do ilości sznurów, to posiadam ich 2400 metrów i twierdzę, że ta ilość zupełnie wystarcza. Jeżeli zasadniczo wykluczam zamykanie i trzymanie wilków w sznurach, to sznury te są mi potrzebne tylko, jako korekta mylnie wziętego miotu. Mylnie może być wzięty miot z rozmysłem, wobec warunków uniemożliwiających wziąć go prawidłowo i bez rozmysłu, wobec braku rutyny lub znajomości terenu. Nie zamykam nigdy miotu z trzech stron, bo stronę od której rozpoczynam pędzenie pozostawiam wolną, sznury zaś daję tylko na flanki. Pozostawiam wilkom tę klapę bezpieczeństwa i jeżeli mądry zwierz potrafi ją wykorzystać, to — jego szczęście. Muszę przyznać, że często daje on dowody rozumu. Ale i po za rycerskością dla godnego rywala, mam i inną pobudkę do niezamykania odwrotu wilkom. Wilk zamknięty ze

wszystkich stron, przerażony, przyparty do sznurów, ostatecznie przez te sznury przejdzie. Wilk taki w przyszłości nie tylko sam sznurów nie uszanuje, ale da zły przykład innym. Wilk, który był w sznurach, ale ich nie przeskoczył, a znalazł ujście, jeszcze więcej te sznury szanuje. Bardzobym ten system propagował, bo przy rozpowszechnieniu dziś u nas sznurów, gdy wilki nasze z nimi się otrzaskają, to wtedy napewno okaże się, że są od nas mądrzejsze i rady już im nie damy.

Zasada zaciągania sznurów polega na tem, żeby zrobić to jak najszybciej i bez najmniejszego hałasu. Osiąga się to, mając dokładnie skręcone sznury, naoliwione i bezszelestne rolki, oraz wyszkoloną obsługę. Obsługa składa się u mnie z sześciu chłopaków, którzy od szeregu lat w tem się wyspecjalizowali. Każ-



dy z nich wie co ma robić, porozumiewają się tylko na migi, a poruszają jak duchy leśne. Doszli do takiej wprawy, że sznurowanie w zależności od terenu trwa od 20 do 30 minut. Prawidłowo zaciągnięty sznur powinien wisieć nie wyżej 0,75 metra nad ziemią, prowadzony ma być najmniejszym gąszczem i nie powinien mieć załomów.

Gdy sznury są zaciągnięte, pozostaje ostatnia rozgrywka: prawidłowo poprowadzić gon, a właściwie ruszenie wilków, umiejętnie zamaskować się na stanowisku, wilka dopuścić na strzał, no i — trafić.

Gajowi i obsługa sznurów rozstawiają się na wylocie miotu, niezaciągniętym sznurami. Jeden z gajowych powinien wejść w miot w kierunku domniemanego legowiska wilków i dać strzał. Jeżeli miot jest wzięty prawidłowo, to w trzy do pięciu minut po tym strzale, wilki, nie obiwszy się o sznury, powinny być na linii strzelców. Jeżeli po upływie pięciu minut nie padł strzał na linii myśliwych, gajowy daje drugi strzał i jest to jednocześnie sygnał dla naganki, która wtedy dopiero rusza, robiąc możliwie dużo hałasu. Po każdym strzale na linii myśliwych gajowy, zmieniając miejsce, powinien odpowiadać strzałem.

Odchylenia od tego ogólnego systemu robię w zależności od ilości i jakości wilków. Jeżeli wilków jest mało, jeden albo dwa, to zasadniczo lepiej poprzestać tylko na strzałach; jeżeli jest ich więcej i zaczynają obijać się o sznury, to wtedy trzeba je nawiązać głosem. Jeżeli poluje się w okolicach, gdzie sznury oddawna są już w użyciu i są dane, że wilki już się z nimi znają, to jestem zawsze za cichym pędzeniem. Wilk nawet „bywały” t.j. taki, który przez sznury już przechodził, o ile jest tylko ruszony, sznury te szanować będzie, ale pędzony gwałtownie, wystraszony nadmiernym krzykiem, sam wyskoczy i nieraz pociągnie za swoim przykładem resztę stada. Stan liczebny wilczych stad, w zależności od okresów ciecarki, stale się zmienia. W naszych warunkach nigdy w większe stada się nie łączą, tak jak w okolicach, gdzie przebywają masowo i gdzie głód ich do tego zmusza. Za normalne można uważać ugrupowania od dwóch do ośmiu sztuk. Często można natrafić pod koniec okresu polowań na pojedyncze sztuki. Pomijając sprawdzony fakt odgryzanej w czasie ciecarki młodej wilczycy przez starą (monografia o wilku str. 40), bo taką w sznury wziąć łatwo, mając do czynienia ze stworzeniem młodem, mniej ostrożnym, które prawdopodobnie ze sznurami nie stykało się, spotyka się szeregi innych pojedynków. Są to przeważnie sztuki, od których para została odstrzelona, postrzałki, i jak w jednym wypadku sprawdziłem, z wilka hodowanego w niewoli, który, wyzwoliwszy się, do stada jednak nie dołączył się. Te kategorie wilków są bardzo trudne do wzięcia w sznury. Są one wyjątkowo ostrożne, obyte ze sznurami i zalegają zwykle w miejscach, nieuczęszczanych przez inne wilki, a przez to mniej dobrze znanych. Tylko w wyjątkowo sprzyjających warunkach może udać się wziąć takiego w sznury i specjalnie ostrożnie trzeba go ruszać.

Ostatni akt tego polowania, to umiejętność zachowania się myśliwego na stanowisku. Ważny jest odpowiedni strój. Wykluczony w stroju jest wszelki czarny kolor, bo zbyt ostro odcina się od ogólnego białego tła. Myśliwy musi być ciepło a lekko ubrany i strój nie może krępować go przy strzale. Do wielu miejsc podjechać nie można i wypada nieraz podejść spory szmat drogi na piechotę, a później dłuższy czas wyczekiwać na ostateczne wycięcie ostępu.

Do wilka przeważnie strzela się z rzutu. Z rzutu strzela się nie dlatego, że wilk idzie gąszczem. Przeciwnie. Wilk bardzo często wybiera właśnie otwarte przestrzenie, by mieć najszersze pole widzenia. Ale

myśliwy, zobaczywszy wilka, nie może drgnąć, zanim mu on pod lufę nie podejdzie. Każdy najmniejszy ruch nie ujdzie bystremu wzrokowi wilka, a wtedy z nieprawdopodobną zwrotnością obróci się i pójdzie z powrotem w miot. Stąd pochodzi ta ogromna ilość postrzałków. Strzał śrutem do obróconego tyłem wilka jest niedopuszczalny, bo tylko pokaleczyć go może. Jeżeli strzela się śrutem, wówczas jedyny pewny strzał, to strzał boczny na komorę na odległość do 30 kroków. Po takim strzale wilk ruluje jak zając. Każdy inny strzał, nie wyłączając strzału na sztych w głowę, jest niepewny. Przy strzelaniu kulą pozycja i odległość nie odgrywa roli, ale trzeba mieć ogromną technikę w tem strzelaniu. Trudności te akcentują się w wyiskrzony słoneczny dzień, gdy błysk lufy widoczny jest na wielką odległość.

Nie wystarczy, by myśliwy stał bez ruchu; musi się poza tem jeszcze umieć zamaskować. Przedewszystkiem musi obrać takie miejsce, by jako tło mieć grupę drzew, a najlepiej jedno grube drzewo. Do wysokości piersi musi sobie ad hoc skonstruować schron. Wtyka się w śnieg grubsze gałęzie, lub pojedyncze drobne sosenki. Wskazaniem jest mieć kordelas, by takowych nie łamać, a ścinać, bo tem unika się niepotrzebnego hałasu.

Najostrożniejsze są te wilki, które wymykają się z miotu, posłyszawszy gon, a sznurów jeszcze nie widziały. Wilk taki idzie wolno, ciągle się zatrzymuje i nasłuchuje, a gdy myśliwy nie zdradzi się najmniejszym ruchem, to podejdzie mu pod samą lufę. Wilk, który się obił o sznury, a szczególnie po strzałach idzie zawsze całym pędem i znacznie mniej reaguje na otoczenie.

Dużo zawsze dyskusji wywołuje zagadnienie, czy należy do wilka strzelać kulą, czy śrutem. Nie ulega wątpliwości, że jeżeli ktoś czuje się na siłach strzelać rzutowo kulą, to strzał taki jest bezwzględnie więcej wskazany od śrutowego. Ale takich, którzyby mieli szanse zabicia wilka kulą, znam mało. Jest to zbyt trudna do zdobycia zwierzyna, zbyt wiele wymaga zachodu, zbyt rzadko do strzału się dochodzi, by na nieposiadających dostatecznej rutyny w kulowym strzale nakładać ten obowiązek. Ale ci wszyscy, którzy używają śrutowej broni, powinni pamiętać, że żadnej zwierzyny łownej kaleczyć nie wolno, i winni mieć to opanowanie, by ryzykownych strzałów nie dawać. Robią przykrość nie tylko sobie, ale i właścicielowi łowiska, dla którego każdy postrzałek, to wilk przeważnie stracony.

Obowiązkiem każdego kulturalnego myśliwego kresowego jest zapisanie się do Towarzystwa Łowieckiego Ziemi Wschodnich.

Poezja niefortunnych łowów

Nieraz słyszę zdanie, że człowiekiem naprawdę szczęśliwym jest nie ten przysłowiowy człowiek bez koszuli, lecz ten, kto jakimś nadludzkim wysiłkiem potrafił wyzbyć się wspomnień. Że wspomnienia — to śmietnik bezużytecznych zwiędłych kwiatów, które nie tylko pożytku nie przynoszą, lecz zatrują serce i mózg wonią rzeczy umarłych. Że t. zw. miłe wspomnienia albo wogóle nie istnieją, jeżeli teraźniejszość jest miłą, albo jeszcze jaskrawiej wykazują nam nędzę teraźniejszości smutnej. No, a przykre wspomnienia są poprostu przykre, więc czy nie byłoby rozkoszą pozbyć się ich nazawsze?

Dużo prawdy tkwi w tej nieskomplikowanej filozofii. Jednak, po pierwsze, w ciężkich czasach dzisiejszych łatwiej być bez koszuli niż bez wspomnień, po drugie — ludzie wyposażeni przez naturę w błogosławioną żyłkę myśliwską, są fenomenalnym wyjątkiem: nie boją się wspomnień. Wspomnienia myśliwskie nie są podobne do innych wspomnień. Wspomnienia myśliwskie nie mają w sobie gorzkiego zapachu rzeczy umarłych. Wspomnienia myśliwskie nie umierają. Wspomnienia myśliwskie są czyste, jak pierwsza porosza, mocne, jak woń bahunu, słodkie, jak leśne maliny.

Wspomnienia myśliwskie są proste i tajemnicze. Nie są one ani złe, ani dobre, — ani przykre, ani miłe — ani słodkie, ani gorzkie. Są one tylko — myśliwskie.

* * *

Wspomnienia myśliwskie — to album magiczny, do którego się powraca z dreszczem poprzedzającym pierwsze spotkanie. Karty tego albumu odwracam zawsze z podobnym uczuciem, z jakim siedłem na pierwszą w życiu schadzkę miłosną. Choć czaszka wyłysiała, choć skronie posiwały, choć grymas przekroczonej czterdziestki osunął kąci warg, choć od błogosławionych czasów anielskich minęło dobrych lat trzydzieści — znów widzę mego pierwszego zająca... Widzę jak z brzoźowego gaju przez leśną polanę zbliża się do mnie ukośnie, słyszę szelest trącanych przezeń w biegu suchych liści, słyszę daleki jeszcze, dźwięczny jak dzwonek porcelanowy, gon Dunaja...

Jakaż siła sprawiła, że Dunaj, którego kości dawno zbieleły na jakimś wygonie, znów ożył i goni... że widzę jego pysk zziąany i pocziwe z obwisłymi dolnymi powiekami oczy. Że ożyła i wieje mi w pierś wonią liści wędnących spowita w srebrne hafty babiego lata knieja — knieja rozdzwoniona gonem — knieja, którą później traktat ryski zaprzedał Kołchozom?..

A zwłaszcza jakaż moc sprawia, że odwróciwszy tę kartę wspomnień, nie załamuję rąk w bezsilnym i jałowym smutku, lecz jasno i spokojnie patrzę w przyszłość?!... Myśliwi wiedzą dobrze, jak tej mocy na imię!

* * *

Dla myśliwego niema wspomnień niemiłych. Zawody i niepowodzenia łowieckie mają również jakiś czar swoisty. „Haniebne” pudła i tym podobne z dysgracji św. Huberta pochodzące czarne karty dziennika myśliwskiego sprawiają ci przykrość chwilową — i to tylko wobec kolegów: nie unikniesz „szyderstw towarzyszy”, jak oni nie unikną twoich szyderstw jutro lub pojutrze. Nie unikniesz ironicznego uśmiešku siostry, żony, ciotki, córki, lub zgoła kucharki, albo innej nadobnej przedstawicielki tego zaiste „niemyślnego narodu”, gdy z pustymi rękami powrócisz z łowów. Czy będziesz im tłumaczył, że dusza pełna wrażeń droższą jest od torby pełnej zwierzyny?... Machniesz tylko ręką, pomyślisz: — co mnie i tobie, niewiasto, — z apetytem wilczym zabierzesz się do posiłku, a gdy sen ukoi chwilową gorycz niepowodzenia i ześle odpoczynek strudzonemu mięśniom — zerwiesz się wesoły, jak dziecko, i zaczniesz układać plan jutrzejszych łowów.

A po kilku tygodniach, gdy przypomnisz sobie ów „strasliwy” dzień czy ranek niepowodzeń, owego przegapionego wilka lub spudłowanego głąszca, to przekonasz się ze zdziwieniem, że w duszy twojej nie masz już goryczy! „Czarna” karta raportu myśliwskiego nabierze barw żywych i wesołych. Wilk przegapiony i głąszec spudłowany nabiorą w twej pamięci tej samej wartości, co wilk martwy szczerzący martwe zęby z dywanu i wypchany głąszec roztańczający na ścianie wachlarz zakurzony... Ba, może nawet większej!... Bo te ubiełeś i zawłaszczyleś, a tamte uniosły z sobą w niewiadome tajemnicę swego zwierzęcego bytowania razem z tajemnicą twego „pecha” myśliwskiego. I dlatego będą ci droższe aż do końca twego łowieckiego żywota!

* * *

Listopad 1914 roku w Mińsku Litewskim... Był to okres, gdy po gorączce pierwszych dni sierpniowych zaczęła się apatia wojny, apatia „tyłów”, apatia burzy, która przeszła w stan chroniczny. Wojnę odczuwaliśmy w Mińsku tylko dzięki sławetnej prohibicji rosyjskiej: kieliszek sznapsa był na wagę złota.

Pozatem wszystko działo się tak, jak gdyby wojny nie było.

— Jedziemy na łośie do Łohojska!

Z takim okrzykiem wpadł do mnie wieczorem do naszego mieszkania mińskiego mój przyjaciel Henio R., późniejszy ułan krechowiecki poległy w szarży w r. 1919, a wówczas student uniwersytetu petersburskiego, jak i ja.

Nie pytałem, co i jak. Kożuszek, dacha, strzel-



ba w futerale, parę ładunków żakanowskich do kieszeni, mała walizka do ręki—i już siedzimy z Heniem w bryczce niemiłosiernie trzęsącej po kocich łbach przedmieścia. Wkrótce miasto i kocie łby skończyły się, ale zaczęła się męka straszliwej grudy: listopad był mroźny w owym roku. Jechaliśmy trzydzieści wiorst noga za nogą; z początku rozmowni, potem małowówni, w końcu milczący i źli. Niebo iskrzyło się; mróz, mimo dach i wilczury, doskwierał od dołu; nawet młode nasze kości miały pod koniec dość straszliwej grudy. A najgorzej, że tego końca nie było widać, no—i te łośie nie były zupełnie pewne...

Po dwu godzinach takiej jazdy przyszała chwila, gdy nam się wydało, że nareszcie męka nasza się skończyła. Bryczka skręciła w bok i w górę i koła zaturkotały po względnie gładkiej szosie. Uf, nareszcie!—westchnęliśmy z rozkoszą. Ale rozkosz nie trwała długo. Na szosie szklila się gołoledź, a konie nie były ostro kute i ślizgały się co chwila: musieliśmy znów jechać stępa. Najgorsze było jednak przed nami. Wszystko szło jako tako, póki jechaliśmy po równinie, lecz w pewnym miejscu droga poszła ostro w górę. Po obu stronach drogi biegł głęboki rów, a za nim czarna ściana lasu. Jakims „nadkońskim” wysiłkiem dogramoliliśmy się do połowy góry i tu nastąpiła katastrofa. Jeden koń poślizgnął się i upadł na bok, po chwili to samo zrobił drugi. Zatrzymaliśmy się?... To byłoby jeszcze pół biedy!... Oto zaczęliśmy wszyscy t. j. dwa konie leżące na boku, furman, bryczka i my dwaj w bryczce powoli, po-

tem coraz prędzej ześlizgiwać się w dół po wypolerowanej gołoledzią drogą. Straciliśmy głowy kompletnie i siedzieliśmy skuleni w bryczce czekając katastrofy—tylko ręce trzymały się kurczowo poręczy. Nie wiem jak długo trwała ta niesamowita jazda wstecz: zapewne dość długo, gdyż oszerszeniałe boki nieszczęśliwych szkap grały znakomicie rolę hamulców. Pomimo ostrego mrozu pot nam wystąpił na czoło, a po mózgu tłukła się uporczywa myśl: rów, rów, rów... Zaiście jednak jest jakieś bóstwo opiekuńcze, które opiekuje się nie tylko dziećmi i pijakami, lecz i myśliwymi. Degringolada nasza odbywała się z matematyczną ścisłością środkiem jezdni i zboczyła dopiero w miejscu, gdzie się kończyła „elewacja” drogi. No, teraz będzie rów... Ale bóstwo opiekuńcze opiekowało się nami do końca i ustawiło w miejscu „krytycznym” słup telefoniczny. Tył bryczki trzasnął groźnie o słup, ale wytrzymał.... Zatrzymaliśmy się...

Dzięki furmańskiej znajomości terenu znaleźliśmy jakąś objazdkę i z czterogodzinnym opóźnieniem zmarznięci, wytrzęsieni i głodni ujrzelśmy wreszcie czarną masę parku łohojskiego, z tej masy tu i ówdzie gościnnie i przytulnie błyszcząły światła.

— Ciekaw jestem, czy to dobry omen, czy zły? rzekł Henio.

— Co?

— Nasza podróż z przygodami...

Nie odpowiedziałem. Bo mam przesąd, że nie-dobrze jest przed polowaniem omawiać kwestję przesądów.

* * *

Nazajutrz powitał nas prześliczny poranek, jakim zrzadka obdarza nas ponury listopad. Niebo bez



chmurki, słońce, lekki mróz, cisza... Po raz drugi — już w świetle dziennym—oglądaliśmy naszą kompanję myśliwską. Było nas sześciu: dwaj panowie z admini-

stracji łohojskiej, z których jeden nadleśny p. Cybulski, szlachcic zagrodowy p. Kandyba, przemysłowiec miński p. Staroniewicz, Henio R. i ja.

Pociągnęliśmy numerki. Pierwszy miał stanąć Henio, potem ja, potem pan Kandyba, potem pan Staroniewicz i reszta.

Knieję stanowiła „półmszaryna”, gdzie prócz łoży i karłowatej sosniny rosły pojedynczo większe sosny i brzozy.

Już mieliśmy się ustawiać wzdłuż linii oddziałowej, gdy nieopacznie wyrwało mi się pytanie:

— Skąd pójdzie naganka?

Pan Staroniewicz spojrzał na mnie z wyższością:

— Nie będzie żadnej naganki. Do ostępu pójdzie jeden leśnik z gończakiem.

— Z gończakiem? I łosie mają koniecznie wyjść na naszą linję?

Pan Staroniewicz zerknął na mnie już nie z wyższością, lecz z wyraźnym politowaniem i odparł:

— O to już się niech pan nie kłopotuje...

Pierwszym stanął Henio, ja zaś ruszyłem dalej za grupą myśliwych, starając się iść możliwie cicho i ostrożnie, wybierając kępy mchu, których zmarznięta powłoka łamała się z trzaskiem, ukazując czarne błoto. Po ujściu kilkudziesięciu kroków grupa myśliwych zatrzymała się. Stałem i ja. Zauważyłem jak pan Staroniewicz naradzał się pocichu z panem Cybulskim, który mu pokazywał coś na mchu. Wreszcie pan Cybulski zbliżył się do mnie i spytał szeptem:

— Pachnie panu łos?

— Pachnie.

— A nie spudłujesz pan?

— Postaram się...

— No to stawaj pan tutaj.



Trzask kroków oddalających się myśliwych ucichał powoli. Ujrzałem, jak pan Kandyba sadowił się za krzakiem łoży. Spojrzawszy na lewo dojrzałem

Henia R. opartego o pień wysokiej sosny. Ogarnęło mnie wzruszenie: — rozpoczął się krótki, lecz najrozkosniejszy okres „samotności” myśliwskiej, samotności dość zresztą względnej na polowaniu zbiorowym. A gdy przypadkowo skierowałem spojrzenie na ziemię, wzruszenie moje zmieniło się w pośpieszny łomot serca. Zrozumiałem, co pan Cybulski pokazywał panu



Staroniewiczowi na mchu i zrozumiałem dlaczego właśnie w tym miejscu miał mi „pachnąć” łos... Na srebrzystym od szronu szarozielonym kobiercu wyraźnie widniały wejściowe tropy łosia. Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że mam dubeltówkę na plecach i że trzeba ją naładować.

Tymczasem chwile płynęły. Ścięta mrozem mszaryna jak gdyby drzemała w przedzimowym letargu i skośne promienie listopadowego słońca nie rozgrzewały jej. Cisza była tak wielka i powietrze tak czyste, że wyraźnie słyszałem szczekanie psów w dalekiej wiosce.

Nagle... Zabrzmiało to, jak trąbka... nie, — jak dzwonek... Gdzieś z głębi mchów, dokąd biegły od mego stanowiska magnetycznie nęcące mój wzrok wejściowe ślady łosia i gubiły się wśród kęp i łóz, rozległo się raz i drugi jękliwe doławianie się... Ciepła fala uderzyła mi do skroni i uszu i na chwilę odebrała mi słuch. A gdy odzyskałem słuch już wyraźnie słyszałem urywany, wysoki, trochę zachrypnięty gon pojedynczego psa. Gon zbliżał się wyraźnie. Nie było to melodyjne granie rasowego gończaka: — raczej zajadły wściekły dyszkant kundla, który oszczekuje kota.

Ujrzałem wreszcie to, o czym nieraz marzyłem, a co dotychczas znałem tylko z obrazów Henryka Weyssenhoffa. Na prawo od mego stanowiska — wprost na p. Kandybę — sunął łos. Rzecz dziwna: — w przeogromnym wzruszeniu, które mnie ogarnęło, znalazło się miejsce na refleks, jak gdyby rozczarowania, że wszystko wygląda właśnie tak, jak na obrazie. Równym, posuwistym kłusem szedł łos przez najrzadszą partję mszaryny — jakby łączkę... brakowało tylko

stogu siana, a miałbym przed sobą żywy plagiat „Tęsknoty” Weyssenhoffa.

Pan Kandyba musiał się poruszyć, bo nagle łoś skręcił prawie pod prostym kątem i ruszył na sztych na mnie. Z Kandybowego krzaka wykwilił jeden, potem drugi pióropusz błękitnego dymu i zagrzmiały dwa strzały. Łoś szedł na mnie dalej...



Zetęgałbym ordynarnie, gdybym powiedział, że nie pamiętam, co było dalej. Owszem: pamiętam wszystko jak najdokładniej. Pierwszy raz strzeliłem na sztych o jakieś piętnaście kroków, celując (o, wstydzcie!) nie w pierś, lecz w ogromny łeb z rosochami. Gdy dym się rozwił, ujrzałem łośa defilującego spokojnym kłusem już na lewo odemnie. Strzeliłem drugi raz na kroków dziesięć na łopatkę... Łoś nie zmienił tempa równego kłusa i migając białymi nogami oddalał się spokojnie, aż znikł w gęstwie łoż i sośniaków. Po chwili, szczerząc jęklawie i z trudem przeskakując na krótkich nogach przez kępy i zwały zjawiał się „gończak”, którym był zwykły pokurecz wielkości foksterjera z zakręconym w obwarzanek jak u świni ogonkiem. Ten dziwny okaz białoruskiej łajki przebiegł koło mnie, nie zwróciwszy nawet na mnie uwagi i pogonił dalej tropem spudłowanego łośa.

Wściekły, bezsilny żal, bardzo bliski płaczu chwycił mnie za gardło... A przecież był to dopiero początek udręki, bo oto od stanowiska p. Kandyby zbliżali się do mnie ożywiona i gwarną czeredą... bracia myśliwi!...

— Panie! — krzyczał czerwony jak burak pan Staroniewicz — a wiesz pan, co dawniej robiono myśliwemu, który zwierza wypuścił z ostępu?... Nie wiesz pan?...

— Trudno: spudłowałem — mruknąłem bez przekonania.

— Że spudłowałeś pan, to widzimy. Ale nie w tem rzecz, że pan spudłowałeś! Pudła zdarzają się najlepszym strzelcom. Rzecz jest w tem, że wypuściłeś pan zwierza z ostępu!...

— A cóż miałem robić?...

— Jakto: „cóż miałem robić?”... Musiałeś pan krzyzczeć, machać rękami, jednym słowem zawrócić łośa do ostępu...

Po raz pierwszy w życiu zrozumiałem, ile jest groźnej przestrogi w słowach wieszczka o myśliwcu, który zwierza wypuścił z obławy... A pan Staroniewicz perorował dalej:

— Panie! ciesz się pan, że minęły dawne czasy, gdy za takie rzeczy dostawało się stęflami w...

Henio R., któremu żal mnie się zrobiło, rzucił hipotezę:

— A może łoś dostał?...

Milczący dotąd pan Cybulski zainteresował się i zwrócił się do mnie:

— A co łoś zrobił po strzale?

— Jak to — co? Nic.

— Ja się pytam, czy biegł dalej kłusem, czy zagalopował?

— Biegł kłusem.

— No to nie dostał, bo ranny łoś zawsze zagalopuje.

Smutny był dla mnie powrót do Łohojska. Wóz drabiniasty trząsł po grudzie niemiłosiernie. Drugi wóz za nami szedł pusty. A jakby pięknie było, gdyby na tym drugim wozie leżało bure cielsko łośa ze zwisającą w dół głową z rosochami... Jak na obrazku. (Nie — pomyślałem — na obrazku łeb łośa zwisa z sanek, a nie z wozu)...

* * *

Smutny był dla mnie powrót do Łohojska, a jeszcze smutniejszy obiad. Humorów nie było, choć przy stole krążyły kielichy z tak cenną w epoce prohibicji „młoda starka”. („Młoda starka” nie jest pojęciem sprzecznym z logiką, lecz poprostu oznacza dziesięcio lub piętnastoletnią starkę). Wprawdzie większość gości udobruchała się nieco po piątej, czy szóstej kolejce (zwłaszcza zacny amfitryon pan Cybulski spoglądał na mnie z życzliwym współczuciem), lecz okrutny i sangwiniczny pan Staroniewicz nie uspakajał się. Z peror jego wynikało, że moja wyprawa na łośa była w samym zarodku skazana na niepowodzenie: że musiałem mieć sztucer (sam miał dubeltówkę...), a w ostateczności wzięwszy dubeltówkę powinienem był wziąć nie żakany, które są do niczego, lecz „breneki”; że nie miałem prawa strzelać wogóle na sztych lecz poczekać, aż łoś będzie mnie mijał i wtedy strzelać na komorę, a w ostateczności skoro już zdecydowałem się strzelać na sztych, trzeba było mierzyć w pierś, bo kula z gładkiej lufy często od łba odskakuje, że...

Po dziesiątej czy dwunastej kolejce pocziwy pan Cybulski rozkrochmalił się ostatecznie i w porę przypomniał sobie, że wszak dzisiaj nie ja jeden pudłowałem:

— Napadacie wszyscy na pana Michała, a przecie to młody myśliwy: po raz pierwszy w życiu strzelał do łosia i miał prawo pogorączkować się. Ale pan, panie Kandyba, stary myśliwy i żeby tak haniebnie sfuszerować...

Pan Kandyba mruknął coś niewyraźnie pod wąsem i milczkiem wychylił kieliszek. Odetchnąłem. Pan Staroniewicz zapomniał na chwilę o mnie i skierował zaczerwienione (zapewne od gniewu) spojrzenie na pana Kandybę:

— Rzeczywiście, panie Kandyba...

Mogłem przestać być figurą centralną i kozłem ofiarnym, oddając tę rolę panu Kandybie, mogłem zupełnie unikać dnia tego drwin i peror, gdybym nie palnął głupstwa, pytając ni z tego ni z owego:

— Łoś szedł wprost na mnie. A coby się stało gdybym nie strzelił? Czy wogóle łoś rzuca się na ludzi?

— Łoś nie rzuca się na ludzi, lecz nigdy nie zbacza z drogi — zdeptałby pana jak amen w pa-cierzu...

Spojrzałem niedowierzająco na obecnych. Odpowiedział mi grzmot śmiechu. Najgłośniej śmiał się pan Kandyba. Narazie nie rozumiałem o co chodzi. Wytłumaczył mi to p. Staroniewicz, mówiąc tonem znaczącym:



— Ach, więc to dlatego pan spuścił łosia...

Była to w tym dniu chwila może straszniejsza, niż pudło do łosia. Zrozumiałem, że prócz opinii pudlarza doczepiono mi opinię tchórza...

* * *

Wieczorem zachmurzyło się, nastała noc tak ciemna, że gościnni gospodarze nie wypuścili nas dnia tego z Łohojska. Zano-cowaliśmy więc by naza-

jutrz wyruszyć o świcie. Jak zwykle w takich wypadkach świt przeciągnął się do południa. Nie było to dla mnie wesołe przedpołudnie. Dręczenie pudlarza i fuszera trwało w dalszym ciągu, przyczem w dręczeniu tem celował — rzecz dziwna — tak dobrotliwie i sympatycznie usposobiony wczoraj do mnie pan Cybulski.



Zaczął opowiadać, jak to na wszelki wypadek kazał wczoraj leśnikom tropić łosia, jak to po paru wiorstach tropienia leśnicy natrafili na ślady farby, jak to po dalszych dwu wiorstach znaleźli wreszcie łosia — martwego.

— Wyobraźcie sobie panowie, — mówił pan Cybulski — że pierwsza kula p. Michała odłupała łosiowi kawałek rogu... Strzał był zgórowany... A druga kula ugrzęzła mu tuż pod krzyżem... Leżał sobie we wrzoscach, a pokurcz siedział obok z wywieszonymi jęzorem i szczekał. Właśnie to szczekanie nakierowało leśników, gdyż na suchym borze ślady były już niewyraźne...

Pan Cybulski musiał być urodzonym aktorem. Opowiadał tak plastycznie, że poprostu widziałem tę scenę: łoś leżący na boku ze sterczącymi z wrzosi-wiska rosochami, a obok — zziąjany i szczekający pokurcz.

Odezwał się pan Staroniewicz:

— Rozmawiałem właśnie z panem Cybulskim, w jaki sposób mamy rozdzielić trofea. Gdybyś pan zabił łosia na miejscu, dostałbyś pan staropolskim obyczajem i rogi i skórę i mięso. Ponieważ jednak łoś przeszedł jeszcze spory kawał, więc mięso dostaną leśnicy... Za trudy... Pan otrzymasz rogi, a skórę — pan Kandyba...

— Więc pan Kandyba też trafił? — spytałem.

Na moje niewinne pytanie dręcyciele zacięli się na sekundę, gdyż nie byli na to pytanie przygotowani. To wystarczyło bym zrozumiał, że historia znalezienia ubitego łosia jest tylko jednym z punktów ukartowanego zgóry programu naigrywania się ze mnie.

* * *

Na bryczce w drodze powrotnej do Mińska Henio R., dotychczas po przyjacielsku i dyplomatycznie powściągliwy, rzucił:

- A wiesz, że to był czternastak...
- Przeliczyłeś odnogi?!—spytałem ostro.
- Nie, nie przeliczyłem, ale tak mi się wydawało.
- Jeżeli tak ci się tylko wydawało, to jesteś duren.

Henio obraził się i jakąś godzinę trzęśliśmy się na bryczce w milczeniu. Pierwszy odezwał się Henio:

— A wiesz, że niepotrzebnie wyrwałeś się z tem pytaniem, czy łoś napada na ludzi. Teraz będą opowiadali, że jesteś tchórzem.

Nic nie odpowiedziałem. Słowa Henia potwierdziły tylko moje obawy: robiono ze mnie tchórza. Prawie do końca długiej podróży siedziałem milczący i osowiąły, przeżywając gorzką, jakże bardzo gorzką żółć ludzkiego okrucieństwa.

* * *

Mój łoś spudłowany był w świątku mińskim tematem rozmów i plotek w ciągu pół roku. Krążyły najrozmaitsze wersje historii mego niefortunnego spotkania z łośiem. Najwięcej rozpowszechniano wersję, którą można było streścić w tych wyrazach: „zobaczył łośia po raz pierwszy w życiu, przeraził się i spudłował, choć strzelał jak do kopy siana”. Ludzie mało znajomi i niemyślni zatrzymywali mię na ulicy i pytali: „jak to było naprawdę z tym łośiem?”

Potem potoczyły się zdarzenia wielkiej i ogólnej wagi. Zdarzenia te sprawiły, że o łośiu moim zapomniano. Front wojenny zbliżył się do Mińska i legł groźnym, tajemniczym murem na dwa i pół lata... Nastąpiła rewolucja marcowa, potem Kiereńszczyzna, potem bolszewizm, potem okupacja niemiecka, znów bolszewizm i wreszcie jedenaście miesięcy polskiego panowania w Mińszczyźnie... Potem przyszedł traktat ryski: trudno było wymagać od ówczesnych dyplomatów naszych, by o łośiach pamiętali... Gorzej, że w krótkowzroczności małych, lękliwych duszyczek zapomnieli o owych niezmierzonych bogactwach puszczy łośojskich, turowskich, berezyńskich i wielu, wielu innych... Jeszcze gorzej, że zapomnieli o mnogich dziesiątkach tysięcy twardej, dzielnej szlachty zagrodowej, mówiącej i myślącej po polsku, o dziesiątkach tysięcy panów Kandybów, Huszczów, Tumiłowiczów, Michniewiczów i wielu, wielu innych, odrzuconych z lekkim sercem za kordon na żer najstraszliwszego z zaborców.

* * *

Dziś — w dwudziestą pierwszą rocznicę moich niefortunnych łowów na łośia — wspominam ten wy-

padek bez goryczy i żalu. Gdybym wtedy nie spudłował, dostałbym piękne rogi, które prawdopodobnie przypadłyby u bolszewików razem z tylu innymi rzeczami — cennymi i pamiątkowymi. Dziś — miast martwego trofeum na ścianie, mam w duszy jedno z najmielszych wspomnień myśliwskich. Słodczy tego wspomnienia nie zdoła nawet zatruć jałowa już dziś tęsknota do utraconych stron rodzinnych. Myśliwy jest stworzeniem, które się łatwo przystosowuje do najgorszych nawet warunków. Myśliwemu dużo nie trzeba, by żyć myśliwską radością... Dziś przymykam oczy i widzę ów „obrazek weyszenhoffowski”: łośia migającego miarowo białymi nogami ku stanowisku pana Kandyby. Przeżywam w najdrobniejszych detalach te kilka sekund rozkoszy wzrokowej...

Mój łoś żyje... I żyje może nie tylko „duchowo” na łamach Jednodniówki Łowieckiej... Bo — kto wie, co się później stało z jego fizyczną powłoką? — Może legł z ręki legalnego myśliwego; może ustrzelił go kłusownik; może niezwykle śnieżną i ostrą zimą 1917 r. otoczyły go i pożarły wilki; może w okresie „swobody” padł pod ciosami chłopskich wideł; może zginął w czasie rykowiska w pojedynku z groźnym rywalem: — kto wie?... Może żyje jednak — sędziwy i groźny samotnik — i, nosząc na łbie potwornym jakiejś potwornej wielkości łopaty, snuje się po dziś dzień po borach łośojskich... kto wie...



R. KINLE

NA CIĄGU

Zapadło słońce kędyś za brzezina —
Umilkły ptaków świergotliwe pienia —
I płynie wielka cichość ukojenia
Przez moczar łąki — w gęstwą boru siną.

Z rozwilgłej ziemi, jak upojne wino,
Sączy się zapach młodej wiosny tchnienia —
Wieczorną zorzą niebo się spłomienia
I dnia krótkiego błyski oto gina.

Lubię natenczas — zagubiony w borze —
Patrzeć w gasnące na niebiosach zorze,
Zanim się mrokiem nocy nie obleką —

I gonić wzrokiem poprzez brzóz koronki
Cień chybotliwie uchodzącej słońki
I myśl swą rzucić daleko — daleko.

Kontrasty

Tomasz wracał z toków głuszcowych w ordynacji Horodeckiej zlekka podchmielony nadmiarem wrażeń myśliwskich i, wtulając się w miękkie fałdy płaszcza, wiszącego w rogu przedziału, starał się wyłowić z turkotu kół pociągu i gwaru rozmów przygodnych towarzyszy podróży lubie dźwięki tak niedawno podsluchiwanej głuszcowej pieśni.

Dzięki uprzejmości przypadkowo spotkanego przed paru tygodniami kolegi z Taboru — ordynata Horodeckiego miał możliwość po dziewięciu latach bezwzględnego postu nasłuchania się i nastrzelania głuszców do syta, a przytem poznał jedno z lepszych i z największym komfortem urządzonych łowisk głuszcowych w Polsce.

Wesoły, czyściutki, bez pretensyj architektonicznych zbudowany w sercu kniei poleskiej domek nadleśnictwa. Wygodne pokoje gościnne, łazienka, cicha i sprawna służba, doskonała kuchnia. Tokowisk głuszcowych wbród, wybór wśród nich ogromny, od suchych i niepodszytych borów sosnowych, odpowiednich dla dam, polujących w pantofelkach, aż do trudno dostępnych moczarów z łożą, trzciną i bagnem, gdzie i wodery nieraz zaczerpną wody, — od małych zgrupowań po dwa — trzy koguty aż do kilkudziesięciu śpiewaków, skomasowanych na kilkunastu hektarach. Do większości tokowisk dojazd motorową drezyną po świeżo zbudowanej po wojnie wąskotorówce. Jeżeli dodać do tego wcale niezłe ciągi słonek wpobliżu siedziby nadleśnictwa, a w jej wnętrzu dobrze zgraną



partję bridge'a i dostatnio zaopatrzoną biblioteczkę, — dla zbadania której zresztą nie starczyło Tomaszowi czasu, — zdawałoby się, że najwybredniejszy smakosz myśliwy nie mógłby pożądać nic więcej.

A jednak Tomasz, gdy teraz w oczekiwaniu swojej stacji myślą przebiegał przeżycia ostatnich czterech dni, od najlepiej wypracowanego swego głuszca do najtrafniej zaliczowanego i rozegranego szlemika, nie



mógł, jak natrętnej muchy, odpędzić od siebie pewnej niepokojącej go wciąż myśli: dlaczego organizator polowań Horodeckich tak mało pozostawia inicjatywy myśliwemu i czemu obrządek wiosennych łowów na króla naszych ptaków ujęty tam został w tak sztywny regulamin?

Tomasz polował na głuszcze od dzieciństwa niemal. W swoim rodzinnym Zapole miał jedno wprawdzie, ale niezłe tokowisko, na którym od czasów, gdy po skończeniu szkół osiadł na własnym zagonie, celebrował przez kilka wiosen z rzędu od końca marca do pierwszych dni maja, opuszczając tylko wyjątkowo mroźne lub słotne okresy. Zabijał jednak co roku tylko jednego, najwyżej dwa głuszce, parę przeznaczał dla gości, resztą rozkoszował się platonicznie. Niepojętą byłoby wówczas dla niego rzeczą polecić komuś zasadzenie dla siebie głuszca, obranie miejsca na nocleg, czy choćby rozniecenie ogniska dla noclegu. Wszystko to robił zawsze sam i cały zespół tych przygotowawczych czynności dawał mu większą dozę przyjemności myśliwskich, niż sam fakt zabicia głuszca na toku.

Przyszła wojna, a z nią pięcioletnia tułaczka po rozmaitych frontach, później traktat Ryski pozostawił Zapole za sowiecką granicą, odcinając na korzyść Tomasza jeden tylko folwark z kawałkiem lasu, gdzie grubszej nad lisa, zająca i jarząbka zwierzyny nie bywało. Zdawało się, że cztery następne lata — okres ciężkich zmagania o utrzymanie tego skrawka ocalałej ojcowizny — do cna wybiją Tomaszowi z głowy wszel-

kie myśli o głuszcach. Spadło jednak, jak z nieba, to nieoczekiwane zaproszenie na królewskie łowy w ordynacji, zakosztował Tomasz na nowo z czary rozkoszy łowieckich — i wszystkie dawne wspomnienia i tęsknoty odżyły ze zdwojoną siłą.

Tylko że w ordynacji Horodeckiej polowano nieco inaczej, niż dawniej w Zapolu...

Około północy zgromadzeni w nadleśniczówce goście ordynata pośpiesznie dogrywają robra, gdyż wkrótce nadleśniczy, nieustraszenie nad wszystkim czuwający, da sygnał do odjazdu. Jakoż niebawem rusza rozdygotana motorówka, wbijając ogniste ślepie elektrycznych lamp w wąską, połyskliwą wstęgę szyn, ginących w ciemnych czeluściach puszczy. Po jednym zsiadają myśliwi na kolejnych przystankach i jedni pieszo, gdzie jest blisko, inni na furmankach, zaprzężonych w kudłate chłopskie koniki, rozjeżdżają się do wyznaczonych im „budanów”. W blasku ogromnego ogniska, tryskającego w ciemne niebo fontanną iskier, już czeka przed budanem służbiście wyprężony, ubrany w mundur gajowego mistrz ceremonii, salutując zdaje raport o ilości zasadzonych z wieczora głuszców, o tych, co dobrze grają, i tamtych, co zwykli milczeć i figle płać myśliwemu, o liczbie wreszcie dozwolonych do odstrzału sztuk. Później albo krótki wypoczynek przy ogniu i kilka łyków z manjerki, czy termosy dla pokrzepienia sił, albo bezpośredni pochód w las, tuż za nieodstępnym aniołem stróżem w zielonych szlifach. Myśliwy nie potrzebuje troszczyć się

o nic, zegarek i kompas są mu najzupełniej zbędne, nawet słuch i wzrok może mieć przytępiony, gdyż przewodnik wszystko za niego wypatrzy i wysłucha, pomoże obejść zdradliwe trzęsawisko, poda w odpowiedniej chwili strzelbę, wreszcie końcem rosochy wskaże ukrytego w gałęziach pieśniarza...

Leniwy wątek Tomaszowych myśli przerwał gwizdek parowozu i w szarej płaszczyźnie pól wyrastać zaczęły wśród zapadającego zmierzchu sylwetki mizerynych budek, imitujących nieodbudowaną jeszcze po wojnie stację.

Przerwany nagłą zmianą sposobu lokomocji wątek myśli nawiązał się znowu, gdy konie, przebiegłszy równym kłusem kilka kilometrów polnej drogi, stępa weszły w las, już mroczny i tajemniczy, spowity w lekkie opary, poprzez które gdzieniegdzie przebłyskiwały gwiazdy. Zapachniało bagnem i subtelnym aromatem butwiejącego listowia, pod kołami bryczki zachlupały wiosenne kałuże.

I tu na tej leśnej drodze, w rozmarzającej atmosferze wiosennego wieczoru przeszła nagle myśl Tomasza jasna i szybka, jak błyskawica, myśl — postanowienie: tejże nocy, zaraz po powrocie do domu przekroczy granicę państwową i zajrzy raz jeszcze do zdawna niewidzianego tokowiska głuszcowego w Zapolu, przypomni sobie dawne dobre czasy.

R. KINLE

NA STANOWISKU

Gotowe wszystko. — Jeszcze dźwięk sygnału,
I wnet naganka zwartą ławą ruszy.
Dłoń ściska strzelbę gotową do strzału.
Dziwny niepokój wkłada się do duszy.

Idą już. — Okrzyk, niczem pieśń chorału,
Echem dalekiem rozbrzmiewa wśród głuszy.
Wokół — iskrami drobnutkiego miału
Z nawisłych świerków szron srebrzysty prószy.

Huczy naganka. — Wnet z gęszczarów toni
Wyrwie się szarak oszalały w trwodze,
Nie przeczuwając, że tu śmierć na drodze,

Że pryśnie ołów ze zdradzieckiej broni,
Że się rozigra myśliwska ochota
Kosztem małego, nędznego żywota.



Rzykował niewiele: granica była słabo strzeżona, zwłaszcza od strony sowieckiej, gdyby zaś natknął się przypadkiem na polski patrol, to łatwo wytłumaczyć zdoła cel swej nielegalnej podróży znajomemu komendantowi policji granicznej, który, jako zajadły myśliwy, napewno go zrozumie i rozgrzeszy; każdą ścieżkę leśną z tej i z tamtej strony granicy znał świetnie; dzień po polowaniu mógł spędzić za granicą bezpiecznie na pierwszym lepszym ostrówku wśród

moczarów, których nie brakło w Zapolu, a wróci do domu następnej nocy.

Zaraz po przyjeździe i spożyciu późnej kolacji wyprawił służbę na spoczynek, oznajmiając, że jutrzejszy dzień spędzi poza domem, wciągnął pośpiesznie długie juchtowe buty, spakował do plecaka zapasy żywności i krótki toporek i z wiernym drylingiem na ramieniu ruszył na wschód. Do granicy miał półtora kilometra drogi przeważnie otwartej, a stamtąd niecałe cztery leśnymi ścieżkami, znanymi tylko zwierzy- nie, myśliwym, zbieraczom grzybów i innym leśnym istotom.

Księżyc w ostatniej kwadrze wysuwał właśnie połowę swej czerwonej twarzy zza zębatej ściany świerkowego lasu, gdy Tomasz przekraczał otwarte kępiaste błoto, wzdłuż którego biegła granica. Lada chwila mógł usłyszeć złowrogi okrzyk: „Stój! kto idzie?” tem mniej miły, jeżeli rzucony w obcej mo- wie, ale niebardzo o tem myślał, wyszukując stopami twardszych kęp i szeleszcząc zwiędłym zeszłorocznym uczepem, owym dzikim kolącym krewniakiem słonecz- nika, który jesienią stale pokrywał błoto zwartym brudno-żółtym kobiercem, dając przytułek kszynom i bekasikom. Ileż tu razy brodził Tomasz w słoneczne wrześniowe popołudnia dawno minionych lat, strzela- jąc do zrywających się milczkiem chwiejnym motylim lotem z pod samego pyska Rekasa miłych karzełków szlachetnego bekasiego rodu. Otóż ostatnie kępy, da- lej połyskujące lustro płytkiego wiosennego zalewu, z którego z wrzaskiem zrywa się para krzyżówek, a tuż za niem twardy grunt i zbawcza ściana drzew, poza którą nic już nie grozi człowiekowi zżytemu z lasem.



Ścieżka w łagodnych skrętach wije się wgłąb. Napewno ta sama, którą tak często przemierzał nie- gdyś Tomasz swymi stopami, ale jakby trochę inną; ciałniej obstały ją krzaki leszczyny, coraz to jakiś nieznajomy młody świerczek wysuwa na środek kolącą

łapę i muska ostrożnie po twarzy przechodnia, jakby pytał, kto idzie; i w górze, zdawałoby się ściślej zwały się czuby drzew, że i dojrzeć czasem trudno skrawka gwiaździstego nieba. Lecz są i starzy, dobrzy znajomi:



z czerni gąszczu jeszcze ciemniejszą plamą mający kadłub zgrzybiałego dębu; stąd zapuszczano gończe w czasie jesiennych polowań na lisy; oto znajoma polanka z wiankiem wiecznie latem rozpaplanych, teraz nagich i milczących osin, a dalej poprzez rzędzące pnie drzew prześwituje łożą porośnię rozległe błoto, na skraju którego wabiono łosie w jesienne wieczory. Zaraz ścież- kę powinna przeciąć ukośnie szeroka linja oddziałowa. Oto jest i linja, lecz mińmy ją coperędzej: myśliwym tego pokroju, co Tomasz, nie zaleca się chodzić lin- jami nawet pod osłoną nocy.

Jeszcze kilometr—i teren staje się coraz niższy, coraz gęściej występuje świerk i robi się coraz ciem- niej, chociaż księżyc wzniósł się już dość wysoko. Aż oto zachlupało pod nogami błoto, skończyła się, jak nożem uciął, świerczyna i w blasku księżycy roz- toczył się rozległy mszar, porosły rzadką nawpół kar- łową sośniną z nieznaczną domieszką brzozy—miej- sce igrzysk wiosennych głuszca.

„Teraz trzeba dojść do malutkiego ostrówka, na którym się tak często nocowało, i doczekać się brzas- ku, a wtedy cichutko, nasłuchując, ruszyć wgłąb mszaru”, myślał Tomasz z bijącym sercem, jak gdyby pierwszy raz w życiu szedł na głuszca. Nagle stanął jak wryty, rysim wzrokiem wpatrując się w kupkę żarzących się węgli na wypukłości pagórka. „Nowi gospodarze polują”, przebiegła mu gorzka myśl przez

głowę, lecz nie czas było się cofać, więc z tysiąc-
nemi ostrożnościami, starając się nie cmokać obcasami
butów przy wyciąganiu ich z błota, skradać się zaczął
ku dogasającemu ognisku. Tuż przy nim leżał nie-
dbale rozciągnięty rosły drab, niczem nie zdradza-
jący oznak życia. Choć wygasłe ognisko dawno grzać



przestało, a nad ranem ścisnąć zaczął przymrozek,
kożuch leżącego człowieka był odrzucony na bok,
odslaniając wyglądającą z pod rozchełstanej zgrzebnej
koszuli włochatą pierś; jedna z potwornie długich nóg
zakończona zdeptanym łykowym łapciem, zsunęła się
z suchego gruntu i spokojnie mokła w sporej kałuży
lodowatej wody; żadnej broni nie było widać w po-
bliżu, na co Tomasz przede wszystkim przezornie
zwrócił uwagę, a tylko stała oparta o pień sosny długa
biała rosocha i leżał przy ognisku płócienny węzełek
z chlebem i słoniną oraz para zapasowych łapci—ty-
powy bagaż poleskiego wędrowca.

„Chyba trup”, pomyślał ze zgrozą Tomasz, kie-
rując światło latarki elektrycznej na twarz delikwenta,
lecz w tejże chwili odskoczył zdumiony, chwytając
odruchowo za strzelbę, gdyż domniemany nieboszczyk
powstał na równe nogi i, mamrocząc jakieś niezrozu-
miałe wyrazy, wpatrywał się osłupiałym wzrokiem
w tego, co mu przerwał spokojny sen.

„Chwiedor, nie poznajesz mnie?” krzyknął nagle
Tomasz, zapominając, że w tem miejscu i o tej porze
od wieków mówiono tylko szeptem. „A panoczek ty
moj szczyreńkij, a katoczek, a karaloczek lubieńkij”,
zaszłochał drab, osuwając się Tomaszowi do nóg i ob-
sypując mu kolana i ręce pocałunkami: „Ja taki wie-
dau, szto jeszcze przydziesz ty do nas, ci tak, ci he-

tak, a zapalujem my jeszcze z taboju razem, rod-
nieńkij”...

Wstał wreszcie, prostując swoją ogromną i smu-
kłą, pomimo brzemienia siedmiu krzyżyków, postać
i, teraz dopiero poczuwszy chłód, co przejąc go mu-
siało w ciągu nocy do szpiku kości, szybko dorzucać
jął chróstu do ogniska i, przykucnąwszy, dmuchał
w nie, co sił.

Gorączkowym szeptem popłynęły wzajemne zwie-
rzenia i opowiadania...

Chwiedor był gajowym w Zapolu od niepamięt-
nych czasów. Urodził się, jako syn gajowego, w za-
gubionem wśród lasów uroczysku „Chorupel”, poło-
żonem nad brzegiem malowniczo płynącej wśród po-
leskich ostępów rzeki, i rzadko ze swej kryjówki na
świat Boży wyglądał. Uważano go powszechnie za
odludka i człowieka ciemnego, lecz nikt nie znał tak
dobrze puszczy i jej tajników, jej zwierząt, roślin i starych
podań, jak ten małowówny i nieokrzesany napozór
chłop, nikt nie potrafił tak cicho przemykać się płas-
kodenną „czajką” wśród szuwarów i wodorostów,
wabić łosia, kaczora i jarząbka, tropić grubą zwie-
rzynę. Strzelby nigdy nie posiadał i nie polował na-
wet za młodu, ale duszę miał bardziej myśliwską i roz-
miłowaną po swojemu w pięknie przyrody od niejed-
nego inteligentnego nemroda. Tomaszowi towarzyszył
w wyprawach łowieckich od jego najmłodszych lat
i był mu ślepo oddany.

Po przewrocie bolszewickim nowe władze ode-
brały mu urząd gajowego, gdyż powszechnie był zna-
ny, jako zwolennik dworu, i osadziły w Choruplu
męża jego wnuczki, łotysza-przybłądę. Odtąd Chwie-
dor mieszkał u wnuczki na łaskawym chlebie, dopa-
trywał i pasał bydło, plótł łapcie i kosze, a w wol-



nych chwilach, których miał dużo, waleśał się po le-
sie, wspominając dawne, dobre dla niego dzieje. No-
wym panom służyć nie chciał i nie wyjawiał im tajni-
ków swojego królestwa, to też z dziecinną radością
wyliczał Tomaszowi, że ocalały dwie chatki bobrowe
z ich mieszkańcami nad rzeką, nienaruszonym zostało

dotychczas tokowisko głuszcowe i nawet para puha-
czów, od wielu lat gnieźdząca się w Reczyszczu,
dotychczas bezpiecznie wychowuje tam swoje po-
tomstwo...

Gdy tak sobie gwarzyli, popijając herbatę z przy-
niesionego przez Tomasza w plecaku imbryka, prze-
ciągnęła nad sośniną chrapiąc pierwsza słonka. „Pora
już tobie, panoczku, iść pod głuszcza; patrz—pobielalo
niebo na wschodzie. Ja tu zostanę i poczekam na cie-
bie: wiem, że nie lubisz, by ci na tokowisku deptano

po piętach. A jak wrócisz, daj Boże z głuszcem, opo-
wiesz mi, jak żyją u was w Polsce”.

Z głębokim wzruszeniem szedł Tomasz wgląd
mszaru, nasłuchując, czy nie zaśpiewa znajomy samotnik,
który zdawna objął w posiadanie wielką sosnę o suchym
wierzchołku i wykutych przez dziecięcy dziuplach.

„Jeżeli żyjesz jeszcze, pocciwy staruszk, nic
ci odemnie dzisiaj nie grozi”, myślał z rozrzewnieniem,
łowiąc uchem dźwięczną rozmowę pary żorawi, co już
obejmowała w posiadanie rodzinne łoży nad rzeką.

WITOŁD ZIEMBICKI

Objaśnienie fraszki Wacława Potockiego «Omyłka myśliwska»¹⁾

Przytaczam najpierw tekst tej fraszki²⁾:

Długo trzymawszy krola Władysława łoże,
Wždy ledwie kęs z podagry na nogi się wzmoże,
Puści ten głos, że kto mu dziś upatrzy kota,
Weźmie kontentacyej sześć czerwonych złota.
Toż do pola, co żywo, z Warszawy się kinie;
Masztalerz Żebrowskiego, w myśliwskim terminie
Żle perfect, obaczywszy na piasku znak tropu,
Dojrzy kobyłej głowy zbotwiałego trzopu
W nadwiślnym chroście, że się nie przypatrzył lepiej,
Nadzieja go z niezmierną radością zaślepi.
W czym, skoro pana swego, a pan krola sprawi,
Dawszy temu munsztułek najmniej się nie bawi.
Wsiada na wozek lekki, że na kamień chorym,
I jedzie otoczony całym swoim dworem.
Iużeśmy do onego przyjeżdżali krzaku,
Kiedy się krol na wozku wymknąłszy z orszaku,
Wszystkim zmykać zabroni, sam charty na smyczy
Trzyma, owemu się mieć każe do wytoczy.
Ale ten widząc, że go oszukały oczy,
Krzyknąłszy: o t o ż, co koń pary ma, wyskoczy.
A frant siedział na rączym i prosto ku boru
Leci, wołając: o t o ż. Nie rychło erroru



Postrzegszy krol: goń, głosem, kto cnotliwy, rzecze,
Już nie dbam o zajaca, on niech nie uciecze.
Tedy się wszyscy jakby suniem za ordyńcem;
Lecz ten dopadłszy lasu, zaraz skręci młynem;
Puścił konia, a sam gdzieś wpadłszy między wisze,
Na niedostępnym bagnie w dziury się skrył mysze.
Więc i krol okazał takiej krotofili
Żeb on z sobą łowczemu wziąć każe kobyli.
Na który kiedy jako na śledziową główkę
Piją, aż ow pieniądze niesie i wymowkę,
Prosząc o odpuszczenie tak wielkiego grzechu,
Wziął oboje wypiwszy garniec wina z śmiechu.

Fraszka powyższa oznaczona jest literą (N), na-
leży więc do grupy opowiadań (Narracyj). Przedsta-
wiony w niej król Władysław IV, był, jak wiadomo,
namiętnym myśliwym. Nie dziwi nas więc, że ledwo
dźwignąwszy się z łożka po napadzie „podagry”,
wybrał się po za miasto z chartami na zajace i że
spragniony tej uciechy naznaczył sześć czerwonych
złotych za „upatrzenie kota”, któregoby potem mógł
sam uszczwac.

Gdy wyjechano w pole, masztalerz jednego



¹⁾ Tęsamą rzecz w nieco odmiennej redakcji ogłosiłem
w Pamiętniku literackim, Lwów, t. XXXI, zes. 3—4, 1934.

²⁾ Wacław Potocki. Ogród fraszek, wydanie Brücknera,
Lwów 1907, III, str. 265, fraszek cz. II, nr. 177.

z dworzan, niezbyt biegły w kunszcie myśliwskim („w myśliwskim terminie źle perfect”), zmylony jakimś starym tropem zajęczym, wziął leżącą w zaroślach nadwiślańskich czaszkę końską („trzap kobyli”) za szaraka i skierował w tę stronę króla, który też od razu kazał mu wypłacić przyrzeczoną nagrodę („munsztułek”),



a sam, mając charty przy sobie, puścił się na przełaj po zdobycz. Siedział przy tem na lekkim wózku, bo chory był na „kamień” (rozumieć należy: kamień pęcherza), musiał więc unikać zbyt silnych wstrząśnień.

Tymczasem człowiek, który wskazał rzekomego zająca, spostrzegł swą pomyłkę i raptem, wrzasnąwszy „o t ó ż”, zwrócił konia do lasu. Czytelnik, choćby nim był dzisiejszy myśliwy, nie znając znaczenia owego okrzyku, nie może się oczywiście zorientować w sytuacji, jaka zaszła. Należy więc wyjaśnić, że okrzyk ten powstał z „o to - hu ż” i używany był w naszym starym języku myśliwskim przez dojeź-

dźca przy szczwaniu wilka. Karłowicz w Słowniku gwar rejestruje go na podstawie ustnego podania jako termin pochodzący z Litwy, ja zaś posiadam egzemplarz Terminologii łowieckiej Kozłowskiego ¹⁾, z dokonanymi prawdopodobnie przez samego autora rękopiśmiennymi uzupełnieniami, gdzie wymieniono tenże okrzyk jako wskazujący wilka i inne jeszcze, zależne od gatunku szczwanego zwierza.

Manewr więc franta z fraszki Potockiego polegał na tem, że pomyliwszy się pragnął odwrócić uwagę króla w inną stronę, wołając: „o t ó ż! o t ó ż!” tak, jak gdyby zobaczył nagle gdzieś pod lasem wilka, dla którego przecież warto było poniechać marnego szaraka. A zanim król, wraz z towarzyszącym mu dworem, zrozumiał mistyfikację, niefortunny dojeżdżacz znikł na rączym koniu i ukrył się w gąszczu.

Wszystko zresztą wesoło się skończyło, winowajca zjawił się po pewnym czasie, króla przeprosił, a pieniądze chciał zwrócić, ale mu je darowano wraz z winą, pił więc z innymi na uciechę.



¹⁾ W. Kozłowski. Pierwsze początki terminologii łowieckiej, Warszawa 1822; por. też: W. Ziembicki. Jana Ostroroga nomenklatura ogarów, Język polski, Kraków 1934, nr. 2 i „Łowiec” 1934, nr. 11—14 (Tenże okrzyk „otosz”, zastosowany jako imię ogara).

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

Szkic do monografii pardwy

Na dalekich i rozległych rubieżach województwa wileńskiego, na północo-wschód od linii, którąby można było wykreślić z granicy litewskiej koło Święcian, poprzez Smorgonie aż ku miasteczku Kraśne nad Uszą, wśród bezmiernych połaci borów, wrzosowisk i pustkowi, w dolinach koło jezior, czy mokradeł, co-

raz częściej występują kompleksy mszystych kobierców torfowca, dźwigających rzadką, karłowatą sośnię—zwane mchami lub mszarami. Jak okiem sięgnąć ciągnie się taki obszar, porośnięty niską, rachityczną sosną o schorzałych, prawie uschłych, powyginanych gałęziach, zaledwie na końcach okrytych czubkami

zielonych igieł. Podłoże mszaru stanowią wysokie kępy, pomiędzy którymi błyszczy woda, okryte grubą warstwą mchu, uginająca się pod stopą człowieka ze złowrogiem bulgotaniem wydobywającego się przez otwory nazewnątrż czarnego jak smoła błota. Stąpając po takim gruncie, ma się wrażenie, że jest to dywan uwieszony w powietrzu, a pod nim znajduje się przerażająca próżnia. Huśtające się podłoże i kiwające w takt naszych kroków pobliskie sosenki, jeszcze bardziej potęgują to przykre wrażenie i mimowoli ogarnia człowieka strach na myśl o możliwym przerwaniu się tego mchowego kobierca, upstrzonego krzakami silnie woniejącego krzewu „bagna”, srebrnolistem i gałązkami pijanic, lub czołgającymi się wiciami żórawin, o krwistych, nalanych kwaśnym sokiem jagodach, odbijających jaskrawością barwy, niby rozsypane bezładnie paciorki, od jednolitego, jakby spłowiałego tła zbitej warstwy mchów-torfowców.

A w niektórych miejscach zanikają nawet te suchotnicze sosenki, których korzenie pod płytką warstwą mchu—nie znajdują już pożywienia w rozrzedzonym błocie. Tam rozpościerają się zielone plamy soczystej roślinności — trawiasty kozuch, pokrywający powierzchnię dawnego jeziora, błyskającego gdzieś czarnem, niezarośniętym „okiem” bezdennych topieli. Człowiek, zwłaszcza o bardziej korpulentnej figurze, nie ma tu już dostępu, gdyż cienki dywan traw przerywa się pod jego ciężarem, wciągając śmiałka po pachy w rzadką maź błota, z której bez niczyjej pomocy trudno się wydostać, a zapadnięcie się powyżej głowy grozi śmiercią.

W takich to okolicach¹⁾ gnieździ się i biesiaduje w ciągu całego roku pardwa (*Lagopus lagopus*)—piękny ptak z rodziny kurowatych, który poza północną Wileńszczyzną nigdzie indziej w całej Polsce nie występuje, gdyż przelotów nie odbywa, a związany jest ściśle ze swymi łęgowskimi, w których spędza wszystkie pory roku z wyjątkiem okresu silnych mrozów, na czas których przenosi się do partii błot, pokrytych gęszczami łoży, wierzby, czy świerczyny. Pardwa jest prawie dwukrotnie większa od kuropatwy. Waga dorosłego samca wynosi około 800 gramów, samicy zaś nie przekracza 700 gr. Jest to jedyny na ziemiach polskich ptak, który zmienia na zimę swe zwykle pstre upierzenie barwy rdzawo-rudej, czarno nakrapianej z białymi skrzydłami i czarnym, białą obrzeżonym ogonem — na śnieżno białe, z czerwoną brwią i ogonem, zachowującym nadal letnie ubarwienie.

Skoro tylko ciepłe podmuchy wiosny roztopią na pagórkach nagromadzone warstwy śniegu, a mszar

zaleje spływająca zewsząd woda, z której, jak drobne wysepki wynurzą się mszyste kępy, ozdobione paciorkami zeszłorocznych żórawin — zimowe stadka pardw składające się zazwyczaj z kilku, czy kilkunastu sztuk, rozbijają się na pary i rozpoczynają zaraz gody wiosenne. Ma to miejsce w pierwszej połowie kwietnia. W tym też czasie tracą ptaki swe białe upierzenie zimowe, przywdziewając letnią szatę.



Na parę mniej więcej godzin przed wschodem słońca samiec pardwa siada na suchej kępie, zwykle na jakimś ostrówku wśród błot, niekiedy wylatuje na sąsiadujące z mszarem pólka i rozpoczyna tam pieśń tokową. Z hardo podniesioną głową, opuszczonymi nieco skrzydłami i rozpiętym wachlarzowato ogonem wydaje dźwięki, przypominające jakiś szmatyczny, przerywany śmiech, tak fałszywie brzmiący i przeraźliwy, że usłyszany poraz pierwszy w życiu—może wywołać dreszcz przestachu. Jest to coś niby okropny chichot, czy jakieś rżenie, po którym następuje okrzyk, dający się naśladować zapomocą sylab: da-we-hek, da-we-hek, powtarzanych kilkakrotnie. Skłonny do zabobonów lud białoruski przypisuje ten właśnie śmiech pardwy djabłu leśnemu, który rzekomo ma urządzać na moczarach orgie z duszami potępieńców. Tok samca słyszeć się daje z odległości dochodzącej nierzadko do jednego kilometra, samica natomiast odzywa się cicho przeciągłym głosem, przypominającym głuchy jęk, czy stęknienie, słyszalnym zaledwie na kilkadziesiąt kroków.

Z końcem kwietnia, a niekiedy nawet i wcześniej, przystępują pardwy do budowy gniazda. Jest to zwykle zagłębienie w mchu, o średnicy przeciętnego głębokiego talerza, wysłane źdźbłami suchej trawy, gałązkami krzewów błotnych, czasami i pierzem. Umieszczone bywa ono zazwyczaj na jakiejś wyższej kępie w środku rozległego mszaru, czy też na suchym „ostrówku” wśród błot, pod krzaczkiem pijanic, lub „bagna”. W pierwszych dniach maja samica znosi od 8 do 20 jaj, o wymiarach 4,5 cm. długości

¹⁾ Na Wileńszczyźnie pardwa przebywa przeważnie na mszarach bardziej suchych, gdzie nie ma ani topielisk, ani groźnych „okien”, lecz gdzie natomiast uginający się, jakby sprężynowy „kozuch” niezmiernie utrudnia chodzenie (przyp. Red.).

i 3,3 cm. szerokości, barwy blado-kanarkowej, upstrzonych plamkami i kropkami czarnymi, gęsto pokrywającymi tło jajka i tworzącymi piękną mozaikę. Najczęściej znajduje się w gnieździe około 15 jaj.

Z pośród wszystkich gatunków kuraków, zamieszkujących Polskę — u pardwy spotykamy najdosko-



nalszą formę monogamji, gdyż samiec bierze tu czynny udział nawet w wylęganiu, zastępując samicę na gnieździe w czasie, kiedy ta udaje się na żer. W okresie wysiadywania pardwy tak twardo siedzą na jajach, że można je często rękami ująć, a drapieżniki, zwłaszcza dziczące koty i lisy, czynią wtedy w zwierzostanie ogromne szkody, dusząc stare ptaki i wypijając jaja. Wylęte pisklęta są od razu bardzo żywe i opuściwszy gniazdo, koczują z rodzicami po okolicy, ucząc się sztuki żerowania i latania, która nie przychodzi im zbyt łatwo, gdyż zaledwie po 2 — 3 tygodniach umieją dobrze korzystać ze skrzydeł. W czasie, gdy młode są jeszcze Nielotne, oboje rodzice opiekują się nimi bardzo troskliwie i czuwają nad bezpieczeństwem rodziny.

Z chwilą, gdy do stadka ukrytego w krzakach bagna lub pijanic zbliży się jakiś czworonóg, czy też człowiek — na sygnał ostrzegawczy ojca, starka i pisklęta przywarowują wśród kęp, zaś kogut, zwany pospolicie „gargatunem”, porywa się z głośnym łopotem skrzydeł i donośnym wrzaskiem, starając się zwrócić całą uwagę napastnika na siebie. Podlatuje on nisko nad ziemią, to znowu opada na mech i ucieka piechotą, machając niezdarnie skrzydłami i pociągając wroga ku sobie pozorem łatwej zdobyczy, gdyż robi wrażenie zbarczonego, czy chorego. W ten sposób potrafi on odprowadzić napastnika daleko od ukrytej rodziny, która w międzyczasie zmienia miejsce, a potem wzbija się wysoko i powraca do swoich, zostawiając zdumionego prześladowcę w odległej części mszaru.

W połowie sierpnia t. j. w czasie, gdy pisklęta

są prawie wyrosłe, rodzice w chwili niebezpieczeństwa nie używają już żadnych wybiegów, lecz najpierw porywa się ojciec z głośnym okrzykiem: gar-gar-gar, a za nim wzbija się w powietrze całe stadko. Początkowo, gdy młode nie są zupełnie wyrosnięte, wydają one przy zrywaniu się piskliwe dźwięki, w miarę jednak dorastania młodek żadnych już potem głosów się nie słyszy. Lecą ptaki zazwyczaj nisko nad ziemią i zapadają niebawem ponownie, często nawet na przestrzeni widzialnej dla niepokojącego je intruza. Przez pewien czas siedzą tam nieruchomo, poczem rozbiegają się, przystępując do żerowania, czy kąpieli w piasku.

Wzlot stada pardw sprawia na nowicjuszu oszałamiające wrażenie. Wrzaskliwy, jakby szyderczy śmiech koguta, łomot skrzydeł o wiele głośniejszy, niż u kurapatw czy cietrzewi, wreszcie migające przed oczyma sylwetki ptaków, połyskujące bielą skrzydeł — wszystko to odurza człowieka, który początkowo nie zdaje sobie sprawy z tego, co się właściwie dzieje, zwłaszcza, gdy stadko wystrzeli mu z nienacka tuż z pod samych nóg.

Z nastaniem jesieni stadka pardw, koczując po okolicy w poszukiwaniu żywności, przenoszą się często z mszarów na rozległe polacie wrzosowisk, zajmujących w północnych powiatach Wileńszczyzny duże obszary, lub na zadrzewione błota leśne obfitujące w jagody, które stanowią podstawowe pożywienie ptaków. Ulubionym ich przysmakiem są granatowe, pokryte siwym nalotem jagody typowego



krzewu mszaru—pijanic (*Vaccinium uliginosum*), kwaśne, czerwone paciorki żórawin (*Oxycoccus quadripetala*), mączyste, zebrane w gronka borówki (*Vaccinium vitis idaea*) i mącznice (*Arctostaphylos uva ursi*), zaściełające zwartym kobiercem skórzastego listowia poręby i wrzosowiska, a przede wszystkim czarne, matowe jagody bażyny (*Empetrum nigrum*), krzewu mszarów północy, występującego w Polsce

tylko na błotach Pomorza i mchach północnej Wileńszczyzny. Jagody te są tak bardzo lubiane przez pardwy, że na mszarach, gdzie nie rośnie bażyna — nie spotyka się i tych białoskrzydłych ptaków, choćby były one nawet pospolite w najbliższej okolicy. Ponadto pardwy żywią się drobnymi chrabąszczykami, ziarnkami traw, młodem listkami i pędami roślin. W zimie jadają pączki krzewów błotnych, głównie łozy i wierzyby, jak również nasiona chwastów.

W początkach listopada rozpoczynają pardwy zmianę upierzenia. Rude, nakrapiane pióra sukni letniej zaczynają stopniowo wypadać, a ich miejsce zajmują nowe, barwy śnieżno-białej. Na pstrzem, letniem okryciu pojawia się coraz więcej piór białych, które nadają ptakowi dziwny wygląd, przypominający kurę domową. Mówi się wówczas, że pardwa „bieleje”. Z czasem jednak rdzawa barwa znika zupełnie i ptak przywdziewa suty strój zimowy, otulający szczelnie ciało i obrastający nawet jego nogi wraz z palcami, dzięki czemu ślad pardwy na śniegu więcej podobny jest do odcisku łap zwierzęcia, aniżeli ptaka. Białe pióra skrzydeł, t. zw. lotki i sterówki ogona nie wypadają przed zimą, zmienia się więc jedynie kolor okrycia pleców i brzucha, a także pokryw skrzydłowych, oraz głowy wraz z szyją i piersi. To też śnieżno-biała pardwa zimowa zachowuje z upierzenia letniego poza czerwoną brodawką brwi — czarny, jasno obrzeżony ogon.

Ta barwa ochronna mieszkanki mszarów, maskująca ją wyśmienicie wśród zasp śnieżnych i oszroniałych kęp, staje się jednak zgubną dla pardwy w czasie jesiennym, gdy zbawczy biały całun nie pokrył jeszcze ziemi. Bowiem jasne upierzenie ptaka, odbijające rażąco od ciemnego koloru jesiennej kniei, zdradza bezlitośnie jego obecność i ułatwia drapieżnikom, zarówno czworonogim, jak i skrzydlatym, zdobycie pożądanego łupu. Wobec tego, że trwały pokrowiec śnieżny otula Wileńszczyznę zazwyczaj dopiero w styczniu, gdy tymczasem pardwa przywdziewa biały strój już często w połowie grudnia, ten miesięczny okres „czarnej stopy” porządnie się jej daje we znaki i przyczynia się bardzo znacznie do zmniejszenia na ziemiach naszych ilości tej zwierzyny.

Jeden jest tylko rodzaj łowów na pardwy, a mianowicie jesienne polowanie z wyżłem. Wprawdzie strzela się czasami te ptaki, zwłaszcza w zimie (wolno na nie polować do 1 lutego) z podchodu, lecz sposobów tych nie można nazwać właściwymi łowami: są to raczej wypadkowe spotkania w czasie polowań na inną jakąś zwierzynę, przeważnie koguty — cietrzewie. Sezon jesiennych polowań z wyżłem na te piękne, białoskrzydłe ptaki rozpoczyna się z dniem 16 sierpnia. Najodpowiedniejszą porą na takie łowy są wczesne ranki i popołudnia, poczynając od godziny 14-ej, wtedy bowiem pardwy żerując, lub kąpiąc się w piasku, przeważnie na otwartych przestrzeniach,

dadają wiele tropów, łatwych do odnalezienia nawet dla psa o marnym węchu. Natomiast na czas upalnych



godzin południa, kryją się ptaki w haszcze i gęstwiny błotne, gdzie trudno już je odszukać.

Z chwilą zbliżenia się legawca do biesiadujących pardw — całe stado zaczyna szybko wyciekać piechotą, to też zarówno myśliwy, jak i pies muszą dążyć za nim prawie że biegiem. Biorąc pod uwagę, że stapa się po mchowym kobiercu, w którym nogi grzęzną nierzadko po kolana — można sobie łatwo wyobrazić, iż po wielokilometrowym takim spacerze pot zrasza ciało, a nogi uginają się ze zmęczenia. Dla ludzi o obfitszych kształtach polowanie na pardwy w upalny dzień sierpniowy jest istną męczarnią, będącą jednocześnie szczerą uciechą dla ich mniej korpulentnych towarzyszy łowów. Znane są powszechnie humorystycznie ujęte opisy takich męczarni pióra Weyssenhoffa w „Sobolu i Pannie”, oraz Korsaka w „Pieśni Puszczy”. Ścigane pardwy umykają piechotą w stronę jakichś kęp, czy gąszczów, a gdy zostaną wreszcie dopadnięte, lub wygnane na otwartą przestrzeń — zrywają się do lotu. Pierwszy wzbija się kogut — gargatun z głośnym wrzaskiem, podobnym do śmiechu, obwieszczając rodzinie niebezpieczeństwo, poczem z trzaskiem skrzydeł porywa się stado partjami po kilka sztuk. Spłoszone ptaki nie odlatują zbyt daleko, a mknąc niskim, przyziemnym lotem, zapadają wkrótce ponownie.

Strzał do pardw nie jest trudniejszy, niż do wzlatających kuropatw i myśliwy, obeznany z tym rodzajem polowania, potrafi strącić z jednego stada parę i więcej ptaków, o ile zwłaszcza posiada broń z eżektorami, w dużym stopniu ułatwiającymi szybkie ładowanie strzelby. Inaczej jednak rzecz się przedstawia, jeżeli chodzi o nemroda nerwowego, lub polującego na pardwy poraz pierwszy w życiu. Bowiem, jak już raz zaznaczyłem, przeraźliwy wrzask ptaków, donośny łomot ich skrzydeł i pstrokaczna wystrzelają-

cych znieścacka rozskrzydlonych sylwetek — „peszą” wytrawnego nawet strzelca, który zazwyczaj daje ognia naoslep i oczywiście pudłuje, albo i nie strzela wcale. W chwili zrywania się ptaków nie należy śpieszyć się ze strzałem, a dopiero ochłonawszy nieco, zmierzyć dokładnie i wystrzelić. Wówczas napewno zdo-



będziemy upragnione trofeum i przekonamy się, że strzał wcale nie był trudny. Chodzi tylko o odrobinę zimnej krwi i opanowania, czego niestety bardzo wielu naszym, nawet dobrym strzelcom, brakuje. Wyjątek stanowią tylko strzały do pardw w gęstwinie, gdzie zazwyczaj niema mowy o dokładnem celowaniu a kropi się z przyrzutu do migających wśród drzew białoskrzydłych ptaków. Takich strzałów rzecz prosta łatwymi nazwać nie można.

Podobnie jak myśliwy i wyżeł powinien także znać sposoby zachowania się pardw, dlatego też pies, zaprawiony jedynie do łowów na kuropatwy i cietrzewie, będzie na tem polowaniu zbyt powolny i łowiec musi go porządnie przynaglać, by potrafił wystawiać wyciekające ptaki¹⁾. Pardwy bowiem tak szybko mkną wśród kęp, że pies, który nie miał z nimi nigdy do czynienia — pozostaje daleko w tyle, przez co zwierzyzna wymyka się poza obręb strzału i uchodzi nie-
tknięta.

Jesienne polowanie na pardwy, aczkolwiek dla niewprawnego piechura jest bardzo męczące—to jednak dla znawcy tych łowów i miłośnika wszelkiego „wyłowania” stanowi rozkosz nielada. Piękny ranek wrześniowy, wyłatający blaskiem pogodnego słońca rozległe, przetykane fioletem kwiecica obszary wrzoso-
wisk—zastaje nas na odludziu, do którego nie dociera

żaden dźwięk, żaden odgłos związany z osobą dwunożnego władcy świata i szerzoną przez niego cywilizacją. Bujna rosa srebrną siwizną zawisła na zdrewniałych łodyżkach wrzосу i otuliła połyskliwym płaszczem złote kępy mszaru. Cisza tak uroczysta i dostojna panuje wokół, że słyszy się niemal przyspieszone tętno własnej krwi.

Myszkujący dookoła wyżeł—nagle trafia na trop i zaczyna szybko ściągać ku ukrytej zwierzynie. Podążamy ku niemu, lecz pies płaszcąc się i przypadając do ziemi, ustawicznie posuwa się naprzód. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że będą pardwy. I oto zaledwie dogoniliśmy wyżeł—rozlega się gromki trzask, a kilka dużych ptaków, z drwiącym chichotem wzbija się w powietrze, migając w słońcu śnieżystą bielą trzepocących skrzydeł. Strzeliliśmy. Jedna sztuka spadła na wilgotny mech, reszta stada ulatuje w dal i długo jeszcze pieści nasz wzrok widokiem pięknych srebrnoskrzydłych sylwetek. O spotkaniu takim marzą i śnią setki naszych kolegów — myśliwych z całej Rzeczypospolitej. I z dalekich, lesistych Karpat, czy piaszczystego Pomorza przyjeżdżają na rojsty Dziśnieńszczyzny, czy Mchy Jelniańskie—by choć raz w życiu zapolować na tego ptaka dalekiej północy, ptaka — którego widok wywołuje wizję bezkresnej, zamarzniętej tundry — białej pustyni, po której wicher tylko hula, przetaczając z miejsca na miejsce olbrzymie zasy pykiego śniegu.

Poza Polską, pardwa zamieszkuje północno-wschodnie połacie Litwy, całą Łotwę, Estonję, Finlandję, oraz Szwecję i Norwegję, jak również północną Rosję, Syberję i Amerykę łącznie z pasem tundry, przekraczając nawet 73° szerokości północnej. Pomimo ostrych i długotrwałych zim, ptaki te nie opuszczają swych stron rodzinnych, a marznąc i często głodując — czekają cierpliwie na nadejście zbawczej wiosny. Ponadto występuje podobno pardwa w pasie hal i wiecznych śniegów w Alpach oraz Pirenejach. Czy jest to tenże gatunek pardwy północnej, czy też jakiś inny, zwany pospolicie pardwą alpejską — nie umiem tego powiedzieć.

Ilość pardw na ziemiach polskich jest dość nieznaczna. Zaledwie bowiem w północnych powiatach Wileńszczyzny występuje ten ptak i to tylko w zakątkach, obfitujących w mszary, porośłe krzewami bażyny.¹⁾ Pomimo zainteresowania tą zwierzyną właści-
cieli łowisk — ilość pardw prawie że nie wzrasta, a w niektórych okolicach nawet wybitnie maleje. Składa się na to wiele przyczyn, z których najwaź-

¹⁾ Przy polowaniu na pardwy największymi zaletami wy-
żła są — siła i wytrzymałość (przyp. Red.).

¹⁾ Pardwa występuje właściwie we wszystkich powiatach wojew. wileńskiego, z wyjątkiem chyba tylko jednego wileńsko-trockiego, chociaż niektórzy twierdzą, że i w tym powiecie zdarza się sporadycznie. Natomiast na południo-zachód od b. kolei lihawo-romeńskiej (Zawiasy—Wilno—Mołodeczno—Olechnowice) pardw ani obecnie, ani przed wojną nigdy nie spotykano (Przyp. Red.)

niejszą jest kurczenie się obszarów błot i mchów, osuszanych i zamienianych na lasy, łąki, czy pastwiska. Pardwy nie mogą się pogodzić z tym postępowaniem kultury rolnej i emigrują coraz dalej na północ, albo, pozbawione miejsc lęgowych, wegetują czas jakiś, zanim i te niedobitki nie staną się łupem drapieżników, czy kłusowników.

Równie katastrofalnie na stanie tej zwierzyny odbijają się długotrwałe susze, w czasie których wszelkie mszary i bagniska stają się łatwo dostępne dla bydła, wraz z nieodłączną gromadą pastuchów i kundli, będącą istną plagą, przed którą nie ostoja żadne gniazdo, ani też stadko nielotnych jeszcze ptaków. Brak wody nieodzownie potrzebnej do egzy-

Najgroźniejszymi łupcami pardw są lisy i dziczale koty domowe¹⁾. Pierwsze z nich niszczą głównie stare ptaki, drugie — gniazda z jajami i niewyrośnięte młódki. Nadmiar lisów w łowisku pardwiem przyczynić się może do zdziesiątkowania najpiękniejszego nawet zwierzostanu, bo chytre mikity, korzystając zwłaszcza z bezśnieżnej zimy, czynią ogromne spustoszenia w stadkach tych ptaków, bez względu na porę dnia i roku. Koty mniej są groźne, gdyż zasadniczo unikają mokrych terenów, na których trzymają się pardwy, a tylko w czasie panującej posuchy — urządzają wyprawy na mszary.

Ze skrzydlatych drapieżców, znanym łupcem pardw jest jastrząb-gołębiarz, zamieszkujący bardzo



stencji pardw—czasami także powoduje ich emigrację. U nas są to jednak wypadki tylko sporadyczne, gdyż północna Wileńszczyzna posiada mnóstwo jezior, rzek i strumieni, mogących zawsze zaspokoić wymagania mieszkańek mszarów.

Bezśnieżne zimy, a także brak „białej stopy” późną jesienią, często aż do grudnia włącznie—wpływa również ujemnie na zwierzostan pardw. Jak już wspomniałem, jasno upierzony ptak jest wtedy zdala widoczny i wszystkie drapieżniki mają ogromnie ułatwione polowanie. Pardwy, przeczuwając grożące im na każdym kroku niebezpieczeństwo, kryją się w tym czasie w gęszczach błot leśnych, w kępach krzewów bagna (zwanego na północnym wschodzie Polski „bahunem”), czy młodych brzeźniakach, lub łożach, porastających brzegi mszarów. Wszystko to jednak na niewiele się zdaje i biedne ptaki składają nadal krwawo haracz aż do chwili, gdy puszysty całun śniegu zaściela szczerze ziemię, a szata pardw zleje się całkowicie z kolorytem zimowej kniei.

licznie północno-wschodnie ziemie, a lubiący szczególnie bory i lasy przylegające do terenów, obfitujących w zwierzynę skrzydlatą. W listopadzie i grudniu rude kobierce mszarów upstrzone są gęsto plamami rozsypanego szeroko pierza rozszarpanych pardw. Gołębiarz, wysłedziwszy wśród kęp gromadkę ptaków, pilnuje ich starannie i codziennie wybiera nową ofiarę. Po pewnym więc czasie całe stadko staje się łupem drapieżnika, który wyszukuje nowej gromadki, by i tę zamienić na swą żywą spiżarnię. W ten sposób jeden tylko okaz gołębiarza może w ciągu jesieni i zimy pożreć całe dziesiątki pardw i w niwecz obrócić długotrwałe mozolne wysiłki myśliwego-hodowcy. A przecież gołębiarze nie należą u nas do rzadkości. Nic też dziwnego, że ilość pardw w Polsce jest dość nieznaczna i wzrasta bardzo powoli.

W ostatnich jednak czasach społeczeństwo łowieckie ziem północno-wschodnich zajęło się szcze-

¹⁾ „Najgroźniejszym” wrogiem pardw jest jastrząb-gołębiarz (przyp. Red.).

gólnie tym ptakiem, pragnąc go uchronić od zagłady, jak również zbadać i opracować naukowo jego życie i obyczaje. W marcu r. b. przy Towarzystwie Łowieckim Ziemi Wschodnich powstała Sekcja Ochrony Pardwy, skupiająca najwybitniejszych znawców tej zwierzyny. Zadaniem Sekcji jest przede wszystkim: zebranie jak najdokładniejszych danych, dotyczących siedlisk i ilości pardw w Polsce, zbadanie lokalnych warunków rozmnoży tego ptaka, czynienie starań o skrócenie terminu polowań na pardwy, opracowanie i wydanie obszernej, wyczerpującej monografii tej zwierzyny, jakiej dotąd polska literatura łowiecka nie posiada, wreszcie stworzenie małego muzeum, któreby posiadało wypchane okazy pardw, ich jaja, gniazda, jak również zdjęcia fotograficzne terenów pardwich samych ptaków, oraz zielnik, zawierający typowe

okazy roślin, związanych z siedliskiem pardw (bagno, pijańca, bażyna, torfowce i t. p.). Ponadto Sekcja Ochrony Pardwy będzie zaopatrywała w potrzebne okazy polskie muzea zoologiczne i gromadziła dla nich materiał naukowy, dotyczący tej drogiej sercu każdego naszego myśliwego białoskrzydłej mieszkanki mszarów.

Lud białoruski zowie tego ptaka „perłą”. Ta napozór nic nie znacząca nazwa tubylecza—dla myśliwego-poety i romantyka kryje w sobie głęboką symbolikę. Perła, to cenny łup, zdobyty z ogromnym wysiłkiem przez odważnego nurka. Pardwa, to najmiłsze trofeum, upolowane z ciężkim, lecz jakże miłym trudem na bezkresnych, grzązkich mchach, w parnych wyziewach rozgrzanego błota i „bahunu”... I dla tego właśnie pardwa jest perłą zwierzyny północnej Wileńszczyzny.

JERZY DYLEWSKI

Najpraktyczniejszy wyżeł dla Kresów

Irland, pointer, czy setter, niemiec gładko czy szorstko-włosy, gryfon, czy pudel-pointer; oto pytania, które wielokrotnie zadają sobie myśliwi, gdy im wypadnie polować na Kresach.



Odpowiedź nie jest taka prosta, jakby się wydawać mogło.

Co innego „Galicjak z Kongresowy”. Ten, polując po uprawnych polach przez 6 tygodni na kuropatwy, a rzadko pozwalając sobie na wypad w stronę Wschodu, gdzie młode cietrzewie i wypióry, bekasy i dubelty, kaczki, słonki i przepiórki, a „na Wileńszczyźnie” — pardwy nęcą miłośników polowania z psem,—ten zależnie od upodobania, wybiera pomiędzy rasami angielskimi i nie popełnia większych pomyłek.

Inaczej jest z kresowcem.

Zacznijmy nie od psów, a od zwierzyny, na którą trzeba z psem polować. Nie jest sprawą drugorzędnego znaczenia zgubienie postrzelonego na toku głuszcza. Prawda, zdarza się to b. rzadko, jeśli chodzi o dobrego myśliwego, nie strzelającego zbyt daleko, można powiedzieć, że się nie zdarza, ale gdyby ktoś miał pierwszorzędnie ułożonego „po niemiecku” psa, czy nie mógłby skorzystać zawsze z jego pomocy, jeśli nie w wyszukiwaniu postrzałka—głuszcza, to poprostu przy wypadkowych strzałach do kaczorów, które przecież w przejazdach na toki zawsze się zdarzają? Kaczor też czasami tak spadnie, że go znaleźć nie można i to najczęściej wieczorem, gdy się stoi na słonkach, gdzieś przy uroczem bagienku, na które zakochane kaczki, szukając osobności, chętnie zapadają.

O dobrym aporterze, towarzyszącym na ciągach słonek nie warto się rozpisywać. Jego niezastąpione usługi są wszystkim dobrze znane.

Czy w temperaturze zbliżonej często do zera, czy w wodzie mającej ok. 4 st. C. każdy pies może pracować bez narażenia zdrowia?

Zdaje mi się, że odpowiedź twierdząca zwolenników pointer'a mogłaby przy próbach porównawczych narazić sporo psów tej rasy na ciężkie następstwa.

Są wyjątki, tak jak we wszystkich dziedzinach, ale mówimy o większości.

Lato. Lipiec. Polujemy na młode kaczki, bekasy, dubelty ze starym oczywiście, wypróbowanym i umocnionym w tresurze psem. Ostre trawy, szczególnie koszone, przy brzegach wód, gdzie trzcinę gęsto

przeplata bujny skrzyp,—jakże boleśnie ranią pomiędzy palcami psa krótkowłosego. Delikatniejsze pointery doznają też obrażeń skóry na bokach i w pachwinach. Przy wyjątkowo kolącej i ostrej roślinności pies zostaje pokaleczony do krwi.

Nietylko samo uwłosienie wpływa na taki stan. Temperament, szybkość chodu, rozmach z jakim pies pracuje, a więc i przestrzeń, którą w określonym czasie przebywa wzmagają lub osłabiają stopień zewnętrznych obrażeń. Im więcej pies przebiegnie, im mocniej odbija się w biegu, tem więcej się podbije i pokaleczy. Ta zaleta psa angielskiego, jaką jest szybkość, przyprawia go w polowaniach kresowych o ból i zmusza do prędszego wycofania z pracy.

Zdawałoby się zatem, że powolny pies dawnego typu niemca posiadać powinien warunki dla polowań kresowych dogodniejsze.

Niestety tak nie jest. Składają się na to dwie przyczyny. Pierwsza, to ciężar ciała „starych” niemieckich psów, no i przeważnie źle zebrana, rozwlekła postawa palców, ułatwiająca kaleczenie. Druga, — ilość zwierzyny, jej nasilenie, jak się zwykło mówić po myśliwsku.

Tereny kresowe, pozbawione sztucznej hodowli, posiadają wielką różnorodność zwierzyny, oraz wielką jej ilość, ale też gęstość „zazwierzynienia”, jeśli się tak można wyrazić, czyli stosunek jej do powierzchni terenu wyraża się bardzo małymi liczbami. W tych więc warunkach pies szukający szybko, okładający szeroko i daleko, gdy się poluje na otwartych przestrzeniach, jest koniecznie potrzebny.

Inaczej przy polowaniu w krzakach. Tam trzeba mieć psa ciągle „na oku”, a więc blisko, w niektórych miejscach pies godzinami musi pracować o kilkanaście zaledwie kroków od myśliwego.

Uczyć psa krótkiego szukania wówczas, gdy z natury szuka daleko, jest trudno i trzeba wiele polowań oraz zwierzyny puszczonej bez strzału poświęcić, aby w trzecim, czwartym, a czasami dopiero w piątym polu uzyskać upragniony rezultat. Niepośledni trzeba też posiadać talent treserski, aby irlanda lub temperamentalnego pointera ułożyć do innego chodu w polu, a innego w krzakach. To są sprawy bardzo trudne.

Do osiągnięcia wysokiej jakości rezultatów w tym kierunku należy zużytkować charakterystyczne cechy danej rasy i danego psa.

Psy gorące, o dużym zasięgu opracowywanego pola, psy posiadające mało praktyki, a dużo temperamentu są materiałem najmniej podatnym do takiego polowania w krzakach.

Psy przerasowane, delikatne, wrażliwe i nerwowe — w znaczeniu chorobowym tego słowa, — wogóle do polowania się nie nadają, a już na Kresach najmniej mogą sobie pozwalać na spacer z myśliwym.

W polowaniach kresowych najbardziej cenioną

musi być, prócz fizycznych zalet, inteligencja, która nie ulega przewadze temperamentu. Pies „mądry” jest materiałem najodpowiedniejszym do układania, a choćby miał tylko średni wiatr i mniejszą szybkość, zawsze będzie pożyteczniejszy od „warjata” z doskonałymi zaletami psów używanych do konkursów.



Jedną z najważniejszych zalet psa myśliwskiego wogóle jest wytrwałość, a nigdzie bodaj brak tej cechy nie daje się tak odczuwać jak w polowaniu kresowym. Warunki terenowe są wyjątkowo ciężkie. Wysokie kępy zmuszają psa do chodzenia skokami, nietylko wzdłuż, ale i na wysokość. Zbite masy traw, a co gorsza wrzosów i trzciny stawiają duży opór w biegu i pies miernej siły przy najlepszym nawet treningu „kończy się” b. szybko, kończy się często po dwóch—trzech godzinach jałowych poszukiwań.

Zmęczenie ponad siły, jak wiadomo, wpływa ujemnie na wiatr psa, a zatem pies słaby, pies nieposiadający wytrwałości staje się nieużytecznym, znacznie wcześniej jeszcze, niż to ostateczne zmęczenie zauważymy.

Pierwszym sygnałem są zazwyczaj t. zw. puste stójki, lub stójki do małych ptaszków (skowronków), wynikające z przemęczenia i osłabienia nosa. Przykre to dla myśliwego zjawisko daje się obserwować u psów z doskonałym wiatrem a z niedostateczną wytrwałością.

Silny pies, tylko w dniach wyjątkowej niedyspozycji może wprowadzać w błąd przez robienie pustych, lub niewłaściwych stójek; pies słaby robi to zawsze, gdy się zmęczy, a męczy się prędko. Jest zatem rzeczą



zrozumiałą, że dla polowań kresowych musimy się starać o jak najsilniejsze psy bez względu na ich rasę. Wytrzymałość jest oznaką siły, która może w poszczególnych rasach psów posiadać wykładnik wysoki, a mniej dla naszych potrzeb stosowny, — i odwrotnie.

Jako ideał, ucieleśniony w b. pięknej sylwetce, może służyć setter irlandzki. Wytrzymałość tego psa, zdaniem mojem, jest tak wybitna, że inne rasy nie mogą z nim wytrzymać długiej i ciężkiej próby. Setter irlandzki dobrze ułożony i opanowany zdarza się jednakże dopiero w czwartym, piątym polu, a u nas bardzo znów trudno wymagać od przeciętnego myśliwego, by przez kilka sezonów tresował sam lub utrzymywał psa, z którym nie można spokojnie polować.

Z tego tylko względu irlandczyk musi ustąpić miejsca psom stylowo mniej wartościowym, ale praktycznością go przerastającym t. j. psom niemieckim.

Zastrzec się tutaj muszę i podkreślam z naciskiem, że mam na myśli we wszystkich rasach pierwszorzędne pochodzenie, ale i z pośród tych rodowodowych psów należy wybierać i układać tylko egzemplarze najsilniejsze i najzdrowsze, a unikać, lub zaniechać zupełnie hodowli psów przerasowanych.

Mocą starych przyzwyczajeń utarło się przekonanie o powolności i braku temperamentu w psach niemieckich. Opinia ta posiada swoje uzasadnienie w odniesieniu do typu tej rasy sprzed lat dwudziestu, jednak nie ma zupełnie podstaw w dobie dzisiejszej. Psy niemieckie, posiadając znaczną przymieszkę krwi anglików, odziedziczyły w dużej mierze już te zalety, o które hodowcom niemieckim najbardziej chodziło, a przede wszystkim dwie zasadnicze: wiatr i szybkość. Z drugiej strony, nie pozbyły się równowagi pomiędzy temperamentem a inteligencją. Wreszcie odporność rasy szorstko-włosistej na wszelkie niespodzianki naszego przykrego klimatu została oddawna wypróbowana praktycznie przez licznych znawców i myśliwych. Wkońcu nie można pominąć tych zalet psa niemieckiego, którymi przewyższa inne rasy, jak taniość w nabyciu cennego szczeniaka, łatwość tre-



sury, przywiązanie do swego pana, inteligencja, a nawet zdolności psa służącego do ochrony.

Nie obawiam się też dać ostatecznej odpowiedzi na pytanie: szorstkowłosy, czy gładki?

Oczywiście, że dla Kresów tylko szorstkowłosy.

Inż. L. M.

Nieco o rysiu

Ryś — „nasz największy kot europejski”, jak go nazywa B. Świątorzecki w swych „Podstawach łowiectwa”, zwany przez niektórych trochę pretensjonalnie lampartem, a nawet tygrysem(!) północy, jest bezsprzecznie najpiękniejszym obiektem naszych „wiel-

kich łowów”. Niniejsze krótkie studjum niema najmniejszej pretensji do monografji tego ciekawego zwierza, monografji, której ryś — obok pardwy — domaga się bardzo. Skromnem zdaniem mojem ryś za parę dziesiątków lat przejdzie do historii, dzieląc losy

tura i rosomaka... Czas więc najwyższy zbadać jak najdokładniej i opisać rysia!

Szkic niniejszy ma na celu skreślenie kilku luźnych uwag z punktu widzenia ściśle myśliwskiego. Ile mamy rysia w Polsce, jakie jest ich rozmieszczenie, jakie są sposoby polowania na rysie, jaki powinien być stosunek myśliwego do rysia w płaszczyźnie ustawodawstwa i gospodarki łowieckiej—oto pytania, na które postaram się odpowiedzieć.

Ilość rysia i ich rozmieszczenie w Polsce. Ś. p. Julian Ejsmond w Kalendarzu myśliwskim na r. 1929 podaje ilość ogólną rysia w Polsce i przyczem wyłącznie w lasach państwowych na 298 sztuk i wylicza 53 stanowisk rysich. Czy cyfry te są ściśle, choćby w grubszym przybliżeniu?—Wątpię. Sam miałem okazję skonfrontować te cyfry z istotnym stanem rzeczy w odniesieniu do 2-ch stanowisk i przekonałem się, że w jednym z nich rysia nie ma i wogóle nie było, a w drugim—ilość rysia jest kilkakrotnie mniejsza od podanej. Wielka ruchliwość rysia, które są bodaj najbardziej „włóczęgowską” zwierzyną wśród naszej fauny, oraz trudność odnalezienia gniazd rysich (np. w porównaniu z wilkami)—sprawiają, że o jakiegokolwiek bądź ściślejszej „statystyce” rysiostranstwa nie może być mowy, zwłaszcza wobec obszarów dzikich, gdzie rysie się gnieźdzą, i zwłaszcza — wobec stosunkowo nielicznej straży łowieckiej na tych obszarach. Do pewnego stopnia istnieje możliwość przeprowadzenia statystyki rysia zimą po ponowie, lecz tylko na wielkich obszarach, podlegających jednemu zarządowi, jak np. na Polesiu. Na Wileńszczyźnie jednak, gdzie takich obszarów nie ma, jest to wykluczone. Pozostaje więc zorjentować się co do ilości rysia według dokonywanego rokrocznie odstrzału. Niestety i tu nie mamy dokładnych cyfr, choć zdawałoby się, że notowanie co roku odstrzelonych

rysiostranstwa, jako składający się z 300 sztuk. Obawiam się jednak, że podane cyfry są nie tylko teoretyczne, lecz i optymistyczne i że naprawdę ilość rysia jest znacznie mniejsza. Obawy moje z 2-ch źródeł pochodzą: a) każdy właściciel rysiego łowiska czyni wszystko, by na rysie zapolować i tylko ustawowy czas ochronny stawia pewną zaporę tym staraniom,



b) polowanie na rysie nie jest—przy pewnej umiejętności—takie trudne, jak to się zwykle laikom wydaje (o polowaniu—patrz niżej).

Rysie przebywają u nas w Puszczy Białowieskiej, w pięciu województwach północno-wschodnich oraz w Karpatach. (Ani podane wyżej przeze mnie „cyfry”, ani uwagi poniższe nie dotyczą rysia karpaccich, co z naciskiem podkreślam). Przebywające u nas w równinach rysie tworzą dwie wybitne grupy niełączące się ze sobą wcale. Jedna północna obejmuje Wileńszczyznę i sięga swą zachodnią granicą po Święciany, Smorgonie i puszcę Nalibocką, druga—poleska ma swą siedzibę w całym dorzeczu Prypeci—północnem i południowem i znajduje się w 3 województwach Nowogródzkim, Poleskim i Wołyńskim. Grupa ta utworzyła w przeciągu ostatnich 10-ciu lat nową „wyspę” w puszczy Białowieskiej, dokąd rysie zawędrowały i gdzie osiedliły się na stałe, znajdując świetne warunki. Wyspa ta obecnie nie ma stałego połączenia ze swą macierzą—grupą poleską, chociaż pojedyncze wypadki wędrówek rysia nie są wykluczone. Jeżeli chodzi o charakter kniei, w której rysie przebywają, to ulubionem ich siedliskiem są mniej lub więcej dzikie puszcze i lasy—rozległe i zamieszkałe przez sarny i bielaki, stanowiące zwykłe pożywienie rysia. Zdarzają się jednak wyjątki: tak np. rozległa Puszcza Rudnicka pod Wilnem, nie mając absolutnie połączenia z lasami dalszego Wschodu, nie ma wcale rysia, natomiast zjawily się od 2-ch lat gniazdowe rysie w 1000-hektarowym lesie p. Mieczysława Goryniewskiego koło Dżisny, jakkolwiek las ten



sztuk nie jest trudne. W grubszym przybliżeniu ilość odstrzelonych rokrocznie sztuk przyjąłbym jako 30. Że zaś wobec trwającej 10¹/₂ miesięcy ochrony rysia odstrzał nie może przekroczyć 10%, określiłbym nasz

nie graniczy bezpośrednio z żadnym większym kompleksem leśnym.

Należy zauważyć, że, jak podaje cytowany przeze mnie Autor „Podstaw łowiectwa”, rysie na Ziemiach Wschodnich są znacznie liczniejsze obecnie niż przed wojną, co ma być skutkiem masowego wyrębu drzew przez bolszewików w lasach w. ks. Mikołaja Mikołajewicza w pow. borysowskim (obecnie Z. S. R. R.). Moim zdaniem dotyczy się to jednak tylko Wileńszczyzny, gdyż na Polesiu ilość rysi uległa zmniejszeniu.

Sposoby polowania na rysie. Za dawnych czasów i niemal aż do wybuchu wojny jedynym sposobem polowania na rysie było polowanie z gońcami (ogarami). W Rosji polowano również z chartami,



w ten sam sposób, jak na wilki t. j. gończe z naganką lub bez naganki puszczano do ostępu, zaś konni myśliwi z chartami czatowali na t. zw. „łazach” (przesmykach). Jednak już w r. 1880 był to bardzo rzadki sposób polowania, jak można wnioskować z ciekawego opisu z tamtych czasów (Priroda i ołocha, styczeń 1881 str. 113). Z pod gończych rys umyka zwykle gęstwini, nie oddalając się zbyt od psów i kołując na stosunkowo niedużej przestrzeni. Rzecz prosta, że psy muszą być odpowiednio „cięte”. Wypadki zapędzania rysia na drzewo należą do wielkich rzadkości i zdarzają się tylko z młodszymi egzemplarzami. Obecnie łowy na rysia z ogarami zanikają. Niemniej jednak wspomniany już przeze mnie p. Goryniewski ubił w r. b. jednego rysia z pod gończych. — Dziś poluje się na rysie przeważnie z naganką. Czy używane powszechnie przy polowaniach na wilki t. zw. fladry są pomocne przy polowaniu na rysie — jest kwestią wątpliwą. Większość znawców jest zdania, że rysie zupełnie nie reagują na tego rodzaju straszaki. Sam proces polowania z naganką jest prosty, natomiast trudniejsze jest stadjum wstępne t. j. otropienie rysia. W łowiskach, gdzie w zależności od pogody kontrolowanie tropów przez straż leśną odbywa się codziennie, tam samo wysledzenie rysia nie jest trudne, natomiast trudnym jest obciążenie miotu t. j. obstawienie go naganką i myśliwymi. Sam byłem w r. 1933 uczestnikiem bezskutecznej pogoni za rysiem z jednego oddziału leśnego do

drugiego; pogon trwała od 10 rano do zmroku i w każdym miocie ryś nie śpiesząc się przechodził do następnego przed zaciągnięciem naganki. Wielki znawca łowów kresowych nieodżałowany ś. p. Wacław Świętorzecki mówił mi kiedyś, że wielkim błędem jest wycinanie zbyt dużych miotów przy tropieniu rysia; ryś, Jego zdaniem, jak każdy kot, chętnie przy-czaja się, gdy się mu „depcze po piętach”, natomiast wymyka się cichaczem zawczasu, gdy posłyszysz zdaleka podejrzane szmery zachodzącej obławy. Nie mam odwagi dawać własnej oceny tego poglądu wybitnego naszego myśliwego. Pozostawiam tę ocenę większym ode mnie praktykom, no i — przyszłemu monografowi rysia. Sam strzał do rysia nie jest trudny: zwierz idzie najczęściej powoli, skradając się, zaś z powodu gęstwiny strzały bywają bliskie. Bez wątpienia najbardziej „dżentelmeński” jest strzał kulą ze sztucera; u nas jednak zwykle strzela się grubym śrutem (loftkami), co osobiście uważam za zupełnie etyczne, gdyż ryś jest naogół „miękki” na strzał. Słyszałem pozatem na Polesiu o polowaniu na rysie z wabiem. Udawanie w czasie godów weselnych, odbywanych w końcu lutego lub początku marca, — głosu zakochanej kocicy przywabiać ma bez zawodu kota, o ile znajdzie się on w pobliżu i nie poweźmie podejrzeń co do grożącego niebezpieczeństwa. O innych (kulturalnych) sposobach polowania na rysie nie słyszałem, w szczególności nie słyszałem, by polowano na rysie na czatach z przynętą, bowiem ryś jest amatorem świeżego mięsa i dotyka przynęty (padliny) w nadzwyczaj rzadkich wypadkach.

Stosunek myśliwego do rysia. Ryś nie czyni szkód wśród zwierząt domowych. Opowiadania o rzucaniu się rysia na zwierzęta swoje uważam poprostu za zmyślane. Jest to przyczyną, że włościanie oraz ich proszeni i nieproszeni „opiekunowie” odnoszą się do rysia zupełnie obojętnie. W przeciwieństwie do „plagi wilków” — nie mamy więc plagi rysiej... na łamach prasy periodycznej... Natomiast w kniei ryś czyni straszne spustoszenia, tem straszniejsze, że ma zwyczaj zjadać tylko drobną część upolowanej sztuki, resztę zaś zakopuje albo zostawia, lecz do ofiary swej nigdy nie powraca. Dla sarn i zajęcy (głównie — bielaków) jest on istnym biczem Bożym i w ciągu paru dni potrafi zwierzostany nie tyle zdziesiątkować, ile poprostu las „oczyścić” od sarn i zajęcy.

Jakże to się stało, że ryś, będąc tak wielkim szkodnikiem dla gospodarki łowieckiej, doczekał się ochrony z rąk samych myśliwych? że ma dłuższy czas ochronny, niż sarna, zajęc i szereg innych gatunków „użytecznych”? Odpowiedź jasna: ryś jest rzadki, coraz rzadszy, jest pozatem zwierzyzną tak piękną, że każdy woli poświęcić swój zwierzostan drobny, a mieć wzamian taką atrakcję. Gdy ostatni ryś zginie, knieje kresowe stracą najpiękniejszą ozdobę, a myśliwi stracą najcenniejszy obiekt łowny. Gdy ryś zginie, to

zginie bezpowrotnie, natomiast tępione przez niego gatunki zwierzyny dadzą się naogół z niewielkim trudem ponownie osiedlić w łowisku. Rozporządzenie Ministra Rolnictwa, dające rysiom 10¹/₂ miesięcy ochrony (od 15 lutego do 31 grudnia) jest, w moich

oczach przynajmniej, pięknym wyrazem stosunku polskiego myśliwego do zwierząt dzikich wogóle, a do rysia w szczególności. Szkoda tylko, że konsekwentnie nie wyznaczono czasu ochronnego dla innych drapieżników... Ale to już rysia nie dotyczy.



ADAM RZEWUSKI

Padają, jak gruszki dojrzałe...

...Miłe obiekty naszej pasji łowieckiej!—bez pardonu—bądź to szerść, czy pióro!...

Myśliwym jestem „dawnego autoramentu”, więcej, niż od półwieku włóczę się „ze strzelbą na ramieniu” po całej Polsce—jak długa i szeroka i już od dwóch lat posługuję się li tylko ładunkami Zakładów Amunicyjnych „Pocisk”!... Zaiste, po staroświecku mówiąc „patrony” te mogą „patronować” wszelkim wyrobom innych Firm!...

Ich penetracja jest fenomenalna! Zwierzyna w ogniu ruluje... Oczywiście, notabene, jeśli się nie jest zawodowym pudlarzem!...

Jak zwykli mawiać myśliwcy starej daty, ładunki te nie „żywią” operowanych i... poczęciwe zajączki, bażanty i kuropatewki rozstają się z naszym płaczem padoleń bodaj nie zauważywszy arcyniemilej (dla nich!) tej manipulacji!...

No—i wilczek, ryś czy nawet dziczek — warchlak należycie loftkami naszpikowany bardzo sprawnie „położy się” u nóg ucieszonego Nemroda, lub Djany łowczyni uroczej!...

Kontrolne bileciki zanumerowane, znajdujące się w każdym pudełku z ładunkami, należycie gwarantują zwrócenie uwagi przez Firmę na najdrobniejsze zauważone przez Sz. Odbiorców w nich niedokładności! Więc—pewność murowana!

Jednogłośnie — Koledzy - myśliwi, z którymi „dyskurowałem” o „Darzborach” — są nimi zachwyceni!... Nie wątpię, że i nowo wypuszczone przez Pocisk „Gryfy” — w niczem im nie ustępują.

„Tego jeszcze nie było!” — powiedziałby stary Ben Akiba!... „Lepszych nie trzeba” — rzekłby nie mniej „leciwy” — Zaratustra!

„Grzecznie się wali do zwierza wszelkiego z guldynki o takim naboju — wyśpiewałby słodki łmć pan Longinus!... A „nestorowaty” niżej podpisany polował, poluje i... będzie polował zawsze i wszędzie, o ile Śty Hubert pozwoli, tylko pociskami skrupulatnego „Pociska”!...

„Bo, panoczku, jak się wyraził niedawno przedemną jeden z tak sympatycznych „hadów” poleskich — „wielmi zwierzyna jak hruszki walitsa od cich patroniwn”!...

Więc? o cóż chodzi?!... Flintę na plecy — „Pocisków” pełną ładownicę i... w „trokach” napewno nie jedna sztuka „bęłtać się” będzie!... Co daruj, Święty nasz Patronie, wszystkim czytelnikom najmilszym, no i słudze Państwa też, jeśli nie będę „srodze fuszerował”.

Chociaż ja i „Pocisk” trzymamy się zawsze zbawiennej zasady: „Feci quod potui faciant meliora potentes!”.

Hodowla zwierzyny na Wschodzie Polski

Ziemie wschodnie są w oczach Polaków z dzieł zachodnich terenem łowów „prawdziwych”, łowów „wielkich”, łowów odbywających się na tle dzikiej przyrody i w mniej lub więcej prymitywnych warunkach. Niedarmo Anglik p. Carton de Viart wypowiedział ongiś wiekopomne słowa, iż dwie są krainy na świecie godne myśliwego — Indie i Polesie. Niedarmo Polak p. St. Dzikowski dał książce swych przeżyć kresowych, przeżyć przeważnie myśliwskich, tytuł „Polska Egzotyczna”...



Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że tylko Polesie ma przywilej „stuprocentowy” do nazwy „krainy polowania”. Całe kresy wschodnie — od północy na południe — zachowały po dziś dzień mniejsze lub większe „wyspy” — wyspy wśród łąnów uprawnych — wyspy puszczy, mszarów, bagnisk, jezior, rojstów, gdzie stęskniona do t.z.w. łona natury dusza myśliwego znajduje prawdziwe ukojenie i prawdziwą rozkosz. Jenó, że Polesie jest wśród tych wysp wyspą bezsprzecznie największą — ku radości Poleszuków i ich szczęśliwych gości.

Myliłby się jednak i ten, kto by dzisiejsze kresy studiował z „Polską egzotyczną” p. Dzikowskiego w ręku... Piękna ta książka aktualna była 10 lat temu... Dziś już nikt nie znajduje na kresach ani tych dziwotłów polityczno-egzotyczno-kulturalnych, które tak słusznie raziły p. Dzikowskiego, ani nie zapojuje na głuszcze z wyżłem latem lub na kozły z gońcami w maju... Chyba kłusownik...

Dużo zmieniło się w ciągu lat dziesięciu w tej dotąd przez Boga i ludzi zapomnianej krainie „Polski egzotycznej”. Zmieniło się na lepsze.

Niejednokrotnie słyży się i nawet czyta zdanie, że t.z.w. kresy nie nadają się z różnych względów do hodowli zwierzyny. Że klimat jest czynnikiem, który wszelkie próby hodowlano-łowieckie dusi, lub raczej — mrozi w zarodku. Że — wreszcie — kresy są i powinny być jakby „rezerwatem” dla wielkich łowów na autentycznie dziką zwierzynę w naprawdę dzikich warunkach, jakby polem wypadowem dla ekspansji myśliwców z całej Polski stęsknionych do „egzotyki”...

W takim przekonaniu tkwi część prawdy. Ale tylko — część. Porównajmy mapę Rzeczypospolitej przedrozbiorowej z mapą Polski dzisiejszej... Gdzie dziś leżą nasze kresy Wschodnie? Zajmują one dobrą trzecią część całego obszaru Państwa, a przecie coś musi jeszcze odpaść na kresy południowe, kresy

zachodnie, kresy północne... Cóż więc dla „centralnej” Polski pozostanie?... Lub raczej: — ładne mi „kresy”.

Odrzućmy jednak te sugestje geograficzno... polityczne. Chodzi o to, że dzisiejsze „kresy” i są kresami i nie są nimi. Stanowią one pod względem penetracji kultury ludzkiej dość żywą i — dla mnie przynajmniej — sympatyczną mozaikę. Obok „po poznańsku” uprawianych pól dworskich, po których huczy traktor, widzimy o miedzę zagon chłopski, gdzie kmiotek odrzuca skiby sapowatej gleby przy pomocy poczciwej muzealnej sochy... Obok zelektryfikowanych osiedli — chyli się ku ziemi strzechą kryta chałupa, gdzie już nie tylko łojówka, lecz średniowieczne łączywo jest „źródłem światła” (kryzys)... A przechodząc do kwestji kultury łowieckiej, ileż mamy przykładów, gdy obok łowiska, gdzie jakaś setka zajęcy stanowi łatwy plon *jednodniowego* polowania z naganką, ciągnie się długi szereg łowisk, gdzie można rok okrągły deptać cierpliwie nie spotkawszy w polu żywej duszy, prócz skowronków oraz włóczących się psów i kotów. A i w pierwszym „szczęśliwym” łowisku i w następnych „nieszczęśliwych” warunki naturalne są kubek w kubek jednakowe. Trudno przypuścić, by „straszliwy” klimat kresowy zmieniał się co miedzę... Zwłaszcza, że nieraz szczęśliwe t. j. bogate w zwierzynę łowisko leży na północnym krańcu, powiedzmy — koło Brasławia, nieszczęśliwy zaś teren — o kilkaset kilometrów na południe...

Nie chcę na łamach książki pamiątkowej poświęconej łowiectwu wschodniemu kontynuować polemiki, która już się toczyła na łamach naszych czasopism łowieckich na temat hodowli zwierzyny na kresach. Chcę natomiast raz jeszcze powtórzyć, że dla mnie osobiście mozaika kulturalno-łowiecka naszych kresów stanowi wielki urok tych kresów. Czyż np. nie rozkoszą jest wyrwać się z Wilna koleją o 4 po południu, zdążyć ze stacji na podsłuchy głuszcowe, a nazajutrz o 8-ej rano wrócić do Wilna z głuszcem?... Albo — wyjechać zimą końmi



z Wilna o 12-ej w południe, a wrócić tegoż dnia wieczorem z ubitym we fladrach wilkiem?... Albo — polując z powodzeniem na rysie w jednym majątku udać się nazajutrz do *śsiedniego*, gdzie w kilka strzelb pada 60 szaraków?... Albo polując z naganką na szaraki, spotkać się oko w oko z wilkiem, a nawet z autentycznym łosiem?...

Wracam jednak do kwestji możliwości hodowlano-łowieckich na Kresach. Przytoczę nieco cyfr i danych.

Jeżeli, jak wspomniałem, dzikie puszcze i mszary stanowią na obszarze Ziemi Wschodnich tylko *wyspy*, to — z drugiej strony — łowiska bogate w drobną zwierzynę i racjonalnie zagospodarowane są na tym obszarze... *wyspami*...

Operuję tylko materiałem cyfrowym, który udało mi się zebrać, a który ilustruje rezultaty *jednodniowych* polowań

w poszczególnych łowiskach Wileńszczyzny i Nowogródziny. Materiał jest bardzo skąpy, gdyż nasi myśliwi kresowi są nader powściągliwi, zarówno gdy chodzi o zakomunikowanie rezultatów marnych (czemu się trudno dziwić), jak gdy chodzi o pochwalenie się pięknymi wynikami hodowli (co jest trochę dziwniejsze).

NAZWA ŁOWISKA	WŁAŚCICIEL ŁOWISKA	Ubito zajęcy w roku:					
		1930	1931	1932	1933	1934	1935
Annawil pow. Wileński	p. Karol Erdman	13	—	37	55	66	95*
Jachimowszczyzna pow. Mołodeczno	Ś. p. Wacław Świętorzecki	53	—	—	60	87*	—
Gliniszki pow. wileński	p. Kazimierz Jeleński	8	13	—	32	42	71*
Pierszaje pow. Wołożyn	Benedykt hr. Tyszkiewicz	41	—	—	55	—	—
W. Soleczniki pow. wileński	p. Karol Wagner	29	—	48	62*	—	—
Jaszuny pow. wileński	p. Aleksander Sołtan	—	—	15	—	—	69*
Tereny koło Nieświeża	Nieswieńskie Tow. Myśliwskie	28	—	—	87	—	—
Landwarów pow. wileński (100 ha)	Eugenjusz hr. Tyszkiewicz	—	—	17	—	39	—
Ordynacja Nieświeńska (ur. Kruhlica)	Albrecht ks. Radziwiłł	—	—	120	135	—	—
Malinowszczyzna pow. Mołodeczno	p. Bolesław Świętorzecki	35	32	29	78	61*	—

Gwiazdki oznaczają, że w danym łowisku ubijane bywały wilki. Kreski natomiast oznaczają najczęściej brak danych, rzadziej — że w danym roku polowania gremialnego nie było. W tabelce tej podane są tylko szaraki, jako „podstawowa” zwierzyna hodowlana; nawiasem jednak zaznaczyć muszę, że każde z przytoczonych jednodniowych polowań było urozmaicone rozkładem kilku lisów, kilku cietrzewi i jarząbków, ba — czasem i wilka. Tak np. w r. 1935 w Annawilu p. Erdmana ubito 95 zajęcy, 6 lisów, 2 jarzabki i — 1 wilka! Tabela powyższa absolutnie nie wyczerpuje listy „wysepek” hodowlanych na Ziemiach Wschodnich. Niestety — mogłem wyłącznie operować materiałem posiadanym przez Redakcję „Trąhek Myśliwskich” i Zarząd Tow. Łow. Z. Wsch. Jeżeli więc niejedna placówka hodowli zwierzyny została w tabelce pominięta — nie moja w tem wina...

Zaznaczyć muszę, że według posiadanego przeze mnie informacji, hodowla zwierzyny prowadzona jest jeszcze w nastę-

pujących (niewymienionych w tabelce) łowiskach: Zatroczu A. hr. Tyszkiewicza (pow. wileński), Wace J. hr. Tyszkiewicza (pow. wileński), Horodczu — Łużkach J. hr. Plater-Zyberka (pow. dziśnieński), Boracinie M. Tukały (pow. nowogródzki), Łukawcu p. J. Borowskiego (pow. wilejski), jak również w szeregu leśnictw państwowych. Również — co do tych łowisk nie posiadam ścisłych danych.

* * *

Wracając do przytoczonej, niestety — wielce niekompletnej tabelki, pragnę zaznaczyć, że nie zaopatruję tej tabelki w komentarze. Sądzę, że bezstronny czytelnik sam wyciągnie odpowiednie wnioski z cyfr przezemnie podanych. Będzie to tembardziej na czasie, że niedawno pewne bardzo poważne czasopismo łowieckie napisało zupełnie poważnie, że na Wileńszczyźnie jedyną (!) zwierzyną są wilki...

Krótkie dzieje Towarzystwa Łowieckiego Ziemi Wschodnich

Jeszcze doniedawna myśl stworzenia t. zw. „ideowego” towarzystwa łowieckiego t. j. towarzystwa zawiązanego nie w celu wspólnego wykonywania polowania, lecz w celu krzewienia kultury łowieckiej — była zupełnie obca psychice myśliwych kresowych. Jeszcze doniedawna myśliwi ziem północno-wschodnich rozumieli pod „towarzystwem łowieckim” wyłącznie zrzeszenie osób dzierżawiących na spółkę tereny myśliwskie i polujących na tych terenach. To też, gdy na przełomie lat 1927 i 1928 ze szpalt wychodzącego już wówczas w Wilnie dodatku łowieckiego do gazety „Słowo” obwieszczono o powstaniu w Wilnie — pierwszego na Wschodzie Polski — towarzystwa łowieckiego „bezterenowego”, fakt ten został przyjęty z niedowierzaniem, ze wzruszeniem ramion, nawet z drwinami.

W umysłach niektórych myśliwych, bardzo skądinąd kul-

turalnych, nie mogła się pomieścić koncepcja organizowania się myśliwych w innym celu, niż polowanie... Przymiotniki Towarzystwa „bezterenowe” i „ideowe” budziły uśmiech. Znaleźli się nawet tacy (niestety, nawet z pośród czynnych dotąd działaczy na polu podniesienia kultury łowieckiej!), którzy do nowoutworzonego w grudniu 1927 r. „Towarzystwa Łowieckiego Województwa Wileńskiego” ustosunkowali się poprostu wrogo... Próżno organizatorzy wskazywali na przykład organizacji ideowo-łowieckiej istniejącej w Małopolsce od lat kilkadziesiąt, próżno powoływali się na przykład i autorytet Polskiego Związku stowarzyszeń łowieckich (zwanego wówczas „Centralnym Związkiem polskich stowarzyszeń łowieckich”)... Apatja i nieufność kresowe towarzyszyły narodzinom pierwszej na Wschodzie organizacji ideowo-łowieckiej...

* * *

Organizacja ideowo-łowiecka w Wilnie zawiązała się, jak wspomnieliśmy, w grudniu 1927 r. pod nazwą „Towarzystwa Łowieckiego Województwa Wileńskiego”. Początkowo działalność organizacji rozciągała się wyłącznie na Województwo Wileńskie. Inicjatorem i prezesem T-wa był p. inż. Bolesław Świętorzecki. Obradom pierwszego zebrania organizacyjnego przysłuchiwał się i protektorat nad T-wem objął ówczesny Wojewoda Wileński p. Wł. Raczkiewicz, dziś — pierwszy członek honorowy T-wa. Statut podpisali, jako członkowie założyciele: pp. Marjan Hoppen, Włodzimierz Korsak, Józef Łastowski,



Wincenty Łuczyński, Michał Obiezierski, Michał Pawlikowski, Roman Ruciński, Bolesław Świętorzecki, śp. Waław Świętorzecki, śp. Waław Szaniawski, Jan hr. Tyszkiewicz, śp. Zygmunt Węclawowicz. Ten ostatni był też pierwszym wiceprezesem. Po jego zgonie wiceprezesurę objął p. W. Łuczyński. Obecnie T-wo ma 2-ch wiceprezesów: pp. W. Łuczyńskiego i M. Pawlikowskiego. Sekretariat prowadzony był początkowo przez p. J. Łastowskiego, a następnie przez p. Pawlikowskiego, który funkcje te pełni i obecnie. Skarbnikami byli kolejno pp.: R. Ruciński, śp. W. Szaniawski i inż. P. Grodzki (obecny skarbnik). Komisję rewizyjną stanowią obecnie pp. admirał M. Borowski, Konsul F. Zawadzki i prezes R. Ruciński.

Ilość członków w okresie dobrej konjunktury gospodarczej osiągała cyfry 200; obecnie (na dzień I.VII 1935 r.) Towarzystwo liczy 152 członków; cyfra ta jest jednak, z natury rzeczy, zmienną, gdyż wciąż napływają nowi członkowie.

W końcu r. 1930 nastąpiła reorganizacja Towarzystwa. Przyjęło ono nazwę *Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich* i rozszerzyło swą działalność na sąsiednie województwa nowogródzkie i białostockie. Dokonana zmiana statutu polegała również na wzmocnieniu władzy prezesa, na wprowadzeniu instytucji członków-sympatyków (którymi mogą być zarówno osoby fizyczne, jak i kółka myśliwskie), na obniżeniu składki członka rzeczywistego do 10 zł. rocznie i na skasowaniu wpisowego.

W r. 1931 w organizacji T-wa nastąpił doniosły zwrot: stało się ono oddziałem Polsk. Związku stow. łow. na 3 województwa: wileńskie, nowogródzkie i białostockie. W czerwcu 1934 r. Walne Zgromadzenie Związku uchwaliło nadać prawa oddziału na obszar województwa białostockiego Radzie Łowieckiej w Białymstoku, skutkiem czego od tej daty Towarzystwo Łow. Z. W. jest oddziałem Związku na 2 województwa: wileńskie i nowogródzkie.

Towarzystwo Ł.Z.W. rozwija działalność swą w 4-ch zasadniczych kierunkach wynikających z ideowego charakteru zrzeszenia, w kierunkach: 1) propagandy, 2) akcji wydawniczej, 3) reprezentowania interesów łowiectwa wschodniego i wreszcie 4) podnoszenia kultury łowieckiej na kresach wogóle.

W dziedzinie *propagandy* T-wo wykorzystywało wszystkie dostępne środki oddziaływania na szerokie kręgi myśliwych (prasa i radio). Zorganizowało stałe miesięczne audycje przez radio wileńskie t. zw. „chwilki łowieckie”. Systematycznie w ciągu lat 8-miu podawało prasie wileńskiej komunikaty o aktualnych czasach ochronnych na zwierzyńę. Organizowało dłuższe odczyty przez radio na tematy łowieckie. Wydało i rozstało myśliwym 9 odezw i ulotek (drukowanych) o treści propagandowej.

W dziedzinie *akcji wydawniczej* T-wo do dnia 1 listopada 1935 r. wydało 71 numerów dodatku łowieckiego do dziennika „Słowo” w Wilnie (p. t. „Gdzie to, gdzie zagrały trąbki myśliwskie”). Dodatek łowiecki do dnia 1 listopada 1935 r. obciążył Towarzystwo pokaźnym wydatkiem zł. 5270, przyczem suma ta poszła wyłącznie na techniczne koszty wydawnictwa, gdyż praca redaktora i autorów nie była honorowana. O ciekawych dla historyka kultury łowieckiej dziejach dodatku łowieckiego do „Słowa” piszemy osobno. Tu zaznaczymy tylko, że nie licząc centralnego Związku, Towarzystwo jest drugim w Polsce zrzeszeniem łowieckim, posiadającym własny organ prasowy (obok Małopolskiego Tow. Łowieckiego). Drugą pozycją T-wa w zakresie akcji wydawniczej jest niniejsza księga pamiątkowa łowiectwa wschodniego.

W dziedzinie *reprezentacji interesów łowiectwa wschodniego* Towarzystwo zawsze stało i stoi twardo na gruncie zdrowego regionalizmu. Rozumiejąc potrzebę istnienia w Państwie centralnej i silnej organizacji skupiającej w miarę możliwości wszystkich myśliwych, Towarzystwo jednak wyznawało i propagowało zasadę decentralizacji t. j. przeniesienia punktu ciężkości pracy społeczno-łowieckiej ze stolicy na prowincję, na teren, gdyż tylko system decentralizacji, system pracy w terenie, zapewnia tej pracy życiowość i skuteczną obronę interesów łowiectwa. Broniąc zasady decentralizacji, Towarzystwo uzyskało już poważne wyniki np. w ustanowieniu regionalnych rozszerzonych czasów ochronnych, w uwzględnieniu jego postulatów w projekcie nowelizacji prawa łowieckiego, w przyskaniu pewnych uprawnień od Centrali etc.

W dziedzinie *walki z kłusownictwem* Towarzystwo wypowiedziało zdecydowaną wojnę zarówno jawnym kłusownikom, jak i t. zw. kłusownikom „legalnym”. W walce z jawnym kłusownictwem T-wo stosowało system wypłacania nagród policjantom, gajowym i t. p. osobom za zasługi na polu wykrywania i ścigania kłusownictwa. Od r. 1928 do 1 lipca 1935 r. wypłacono ogółem 1970 zł. nagród. Poza tem T-wo interwenjowało niezliczoną ilość razy — pisemnie i ustnie — w tych sprawach u władz administracyjnych i policyjnych. Kłusownictwo „legalne” było piętnowane przez T-wo na każdym kroku przy sposobności rozwijania akcji propagandowej.

Wreszcie nie od rzeczy nadmienić będzie, że w ciągu swego istnienia T-wo nieustannie dbało o interesy swych członków, bądź udzielając im porad prawnych lub fachowych, bądź interwenjując w ich sprawach łowiecko-prywatnych (np. w sprawach dzierżaw).

* * *

Z powyższego krótkiego streszczenia wynika, że Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich w ciągu 8 lat istnienia, starało się z powodzeniem sprostać wielkiemu zadaniu podźwignięcia kultury łowieckiej na Wschodzie Polski. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że fundusze Towarzystwa składają się prawie wyłącznie z niedużych składek członkowskich, że olbrzymia część myśliwych (posiadaczy kart łowieckich) ziem wschodnich do Towarzystwa nie należy, że nie wszyscy ci, co należą, płacą składki regularnie, tedy jasne się staje, z jakimi trudnościami boryka się Towarzystwo w swej pracy... Przeciężny budżet roczny Towarzystwa (mniejszy, niż 1500 zł!) niech będzie miarą tego, co Towarzystwo może zrobić, i tego, co faktycznie zrobiło...

Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich walczy nie tylko z kłusownictwem... Walczy ono ze zjawiskiem stokrotnie dla łowiectwa groźniejszym, niż kłusownictwo — z wciąż trwającą obojętnością i biernością olbrzymiej większości myśliwych kresowych. Wśród tych obojętnych i biernych widzimy nie tylko „maluczkich” t.j. analfabetów i półanalfabetów wiejskich... Wśród obojętnych i biernych znajdziemy niejedno znane w świecie myśliwskim nazwisko. Towarzystwo nasze może się nawet

poszczycić „wrogami” (tak—wrogami!) i to wrogami „ideowymi”, to znaczy takimi, którzy nas zwalczają... z ukrycia i podstępnie z tego powodu, że im się to lub inne posunięcie Towarzystwa nie podoba. Jak gdyby nie prościej i nie bardziej po rycersku byłoby przystąpić do nas i na forum naszego walnego zebrania wypowiedzieć swą krytykę szczerze, głośno i otwarcie...

Szczerze—Towarzystwo ma więcej przyjaciół, niż wrogów, i wierzy, że przy pomocy przyjaciół będzie się dalej rozwijało — na chwałę i pożytek łowiectwa wschodniego.

„Trąbki myśliwskie”

Nie wszyscy myśliwi w Polsce, interesujący się literaturą i prasą łowiecką, wiedzą, że „Trąbki myśliwskie” są skróconym tytułem organu prasowego Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, wychodzącego w Wilnie od r. 1926, jako dodatek miesięczny do gazety „Słowo”. Tytuł „Trąbki myśliwskie” jest skrótem pełnego tytułu: „Gdzie to, gdzie zagrały trąbki myśliwskie?”.

Skąd ten, trochę dziwny tytuł i jaka jest wogóle geneza powstania „Trąbek myśliwskich”? Jesienią 1926 r. p. Michał Obieziński, ówczesny członek redakcji wileńskiego dziennika „Słowo” w rozmowie z p. prez. Bolesławem Świętorzeckim rzucił myśl, że dobrzeby było, zarówno w interesie poczytności dziennika, jak i w interesie propagandy racjonalnego łowiectwa, wydawać regularnie przy „Słowie” jedną lub dwie stronicę poświęcone całkowicie sprawom myśliwskim. Od... „słowa” do czynu—zawązał się komitet redakcyjny w osobach pp. Bolesława Świętorzeckiego, dr. Czesława Konecznego, Konrada Landsberga (dzisiejszego wiceprezesa Wołyńskiego Stowarzyszenia Łowieckiego) i Michała K. Pawlikowskiego. Pierwszy „numer” dodatku łowieckiego wyszedł w niedzielę 10 października 1926 r. i miał na czele przepiękny, owiany szczerym sentymentem a błyskotliwie i z werwą napisany artykuł wstępny świetnego publicyisty, nieodżałowanego śp. Czesława Jankowskiego. „Gdzie to, gdzie zagrały trąbki myśliwskie, budząc odwieczne echa po ziemi pagórków leśnych i łąk zielonych” — temi oto słowy rozpoczął śp. Jankowski swój artykuł wstępny. Początkowe wyrazy tego artykułu są już oto rok 10-ty tytułem dodatku łowieckiego i — póki „Trąbki” żyją—tytuł zmianie nie ulegnie!... Tak być powinno gwoili tradycji, gwoili pietyzmu dla pamięci wielkiego dziennikarza, gwoili temu wreszcie, że tytuł taki, choć przydługi, jest dźwięczny, rzetelny, oryginalny, myśliwski...

Od r. 1926 do końca 1928 r. ukazało się 16 numerów „Trąbek”, numerów bardzo skromnych, gdyż każdy z nich stanowił tylko jedną stronicę dziennika, będąc tego dziennika częścią integralną. Na Nowy Rok 1929-y „Trąbki” ukazują się na osobnym arkuszu i na lepszym papierze już nie jako integralna część gazety, lecz jako osobny dodatek i noszą podtytuł: „organ łowiectwa wileńskiego”. Od marca tegoż roku „Trąbki” ukazują się już stale jako osobny dodatek, przyczem noszą podtytuł „organ Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich” (które do końca 1930 r. miało nazwę „Towarzystwo Łowieckie Woje-

wództwa Wileńskiego” — patrz „Krótkie dzieje” tego T-wa). Od kwietnia 1928 r. po dzień dzisiejszy redaktorem „Trąbek” jest p. Michał K. Pawlikowski. Komitet redakcyjny składa się obecnie z pp. Bolesława Świętorzeckiego, Włodzimierza Korsaka, Michała K. Pawlikowskiego, Jana Borowskiego i Leopolda Pac-Pomarnackiego. W r. 1935 zmarł członek Komitetu śp. Olgiern Świda, znany myśliwy i pisarz myśliwski.

Od 1929 r. do końca października 1935 r. ukazało się 55 numerów „Trąbek”, czyli od chwili powstania „Trąbek” w roku 1926 razem 71 numerów. W roku 1935 „Trąbki” wkroczyły w dziesiąty, jubileuszowy rok istnienia i dziesięciolecie upłyne w dniu 10 października 1936 roku. W dniu tym projektowane jest wydanie specjalnego, jubileuszowego numeru o ozdobnej szacie i zwiększonej objętości. Nawiasem mówiąc „Trąbki” już raz święciły b. skromny, bo 5-letni jubileusz w dniu 10 października 1931 r., wydając w tym dniu numer poświęcony 5-letnim dziejom „Trąbek”.

Co zawiera przeciętny numer „Trąbek”? Artykuł wstępny treści fachowo-łowieckiej lub ogólno-łowieckiej, feljeton, satyryczna rubryka p. t. „Piórka z kaczego ogona”, przegląd wydawnictw, dział oficjalny p. t. „Z Tow. Łowieckiego Ziem Wschodnich”, kronika myśliwska, skrzynka pocztowa, rozmaitości p. t. „Salatka myśliwska”, sprawozdania delegatów łowieckich — oto treść przeciętnego numeru „Trąbek” plus pięć lub sześć fotografii. Należy zaznaczyć, że specjalną ambicją redaktora „Trąbek” jest umieszczanie w nich wyłącznie rzeczy nowych, nigdzie przedtem niedrukowanych i niereprodukowanych.

Zarówno redaktor, jak i współpracownicy „Trąbek” nie są opłacani. „Trąbki” są wydawnictwem czysto i bez reszty deficytowem, gdyż, nie przynosząc żadnego zysku materialnego, obciążają budżet Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich poważnym wydatkiem. Do końca października 1935 r. Towarzystwo zapłaciło wydawnictwu „Słowa” za „Trąbki” pokązną kwotę 5270 złotych!

Na zakończenie wypada nadmienić, że niniejszy artykuł nie jest pierwszą historią „Trąbek”. W r. 1931 z okazji 5-lecia „Trąbek”, krótką ich historję ujął kpt. Józef Wł. Kobyłański w bibliograficznym szkicu p. t. „Trąbki muszą dalej brzmieć”, umieszczonym w tychże „Trąbkach” (nr. za październik, listopad, grudzień 1931 r.).

Ci, co odeszli

Z grona myśliwych zrzeszonych w Towarzystwie Łowieckim Ziem Wschodnich w ciągu 8 lat istnienia tego Towarzystwa śmierć okrutna wyrwała 9-ciu członków. Nieubłagany los sprawił, że prawie wszyscy zmarli należeli do rzędu najbardziej czynnych, najbardziej sprawie oddanych, najbardziej zasłużonych działaczy łowieckich. W swoim czasie organ pra-

sowy T-wa—dodatek łowiecki do „Słowa” („Trąbki myśliwskie”) zamieścił dłuższe nekrologi poświęcone pamięci większości Zmarłych. Dziś — w „księdze pamiątkowej łowiectwa Wschodniego” notujemy ku wiecznej pamięci pamięci nazwiska Tych, co odeszli — z podaniem krótkich danych biograficznych.

1. **Zygmunt Węclawowicz** z Narun na Kowień-

szczyźnie († 1928). Pierwszy wiceprezes T-wa i jeden z członków-założycieli. W czasach przedwojennych — pionier hodowli zwierzyzny na Ziemiach Północno-Wschodnich.

2. **Kamil Mackiewicz** († 1931). Światowej sławy karykaturzysta i rysownik. Ilustrator książek łowieckich. Autor humoresek myśliwskich. Niezrównany narrator i gawędziarz. Wspomnienie pośmiertne patrz „Słowo” Wilno Nr. 287 z r. 1931.

3. **Józef Drozdowicz** († 1932). Najmłodszy członek T-wa. Redaktor miesięcznika łowiecko-krajoznawczego p. t. „Ziemia Dziśniejsza” w Głębokiem. Fanatyczny propagator ideowego łowiectwa. Zgasił, jako maturzysta. Wspom. pośm. p. „Trąbki myśliwskie” lipiec — sierpień — wrzesień 1932 r.

4. **Stefan Rószkiewicz** († 1933). Autor prac ornitologicznych i opowiadań myśliwskich. Członek Klubu Łowieckiego Oficerskiego Garnizonu Wilno, Wileńskiego Tow. Myśliwskiego, Sekcji Ochrony Łosia, Międzynarodowego Tow. ochrony żubra i Klubu Myśliwskiego. Wspom. pośm. p. „Trąbki” czerwiec — lipiec 1933 r.

5. **Piotr Ignacy Koczan** († 1933). Delegat powiatowy

Polsk. Związku stow. łow. na gminę Solecznicką pow. wileńsko-trockiego. Hodowca zwierzyzny i tępiciel kłusownictwa. Wspom. pośm. p. „Trąbki” sierpień—wrzesień 1933.

6. **Wacław Junosza Szaniawski** († 1934). Członek założyciel i długoletni skarbnik Tow. Wspom. pośm. p. „Trąbki” Nr. 2/61 z 1.IV. 1934 r.

7. **Wacław Świętorzecki** († 1934). Członek-założyciel Tow. Znakomity myśliwy, znawca i hodowca zwierzyzny. Właściciel hodowli wyżłów i kaczek-krykuch w Jachimowszczyźnie pow. mołodeczańskiego. Odznaczony Złotym Medalem zasługi łowieckiej. Wspom. pośm. p. „Trąbki” Nr. 6/65 z 6.I. 1935 r.

8. **Stefanja Slizieniowa** († 1934). Członek T-wa.

9. **Olgierd Świda** († 1935). Delegat powiatowy Polsk. Zw. stow. łow. na pow. nieświeski, członek komitetu redakcyjnego „Trąbek myśliwskich”, założyciel i prezes Powiat. Tow. Łow. w Nieświeżu. Znakomity myśliwy, hodowca zwierzyzny i autor prac hodowlanych. Odznaczony Złotym Medalem zasługi łowieckiej. Wspom. pośm. p. „Trąbki” Nr. 2/67z 28.IV. 1935 r.

Osoby i instytucje, które zamówiły księgę pamiątkową

(w chronologicznym porządku zamówień)

Aleksander Sołtan, Bolesław Sulima-Samujłło, Karol ks. Radziwiłł, Powiatowe Tow. Łowieckie w Brasławiu, Aleksander Radwan-Okuszek, Józef Żenczykowski, Henryk Buszyński, Koło Łowieckie w Stawie, Stanisław Jaworski, Leon Bychowicz, Józef Woyniłowicz, Józef Zawadzki, Iwo Bochwic, Justyn Strumiłło, Dyrekcja Lasów Państwowych w Łucku, Czesław Tromszczyński, Wacław Jeśman, Żeliszew Januskiewicz, Bohdan Wańkowicz, Koło Łowieckie urzędników ziemskich na Polesiu, August Torwirt, Zdzisław Umiasztowski, Józef Gieysztor, Wojskowe Tow. Łowieckie Garnizonu Lida, Tow. Prawidłowego Myślistwa „Diana” w Zawierciu, Aleksander Ulm, Stefan Russel, Eugenjusz Rytel, Tow. Łowieckie Pracowników K.P. w Wilnie, Jan Olendzki Bronisław Przybylski, Ignacy Bohdanowicz, Andrzej Węclawowicz, Stefan hr. Dąbski, Karol Erdman, Henryk Górski, Jerzy hr. Broel-Plater, Dominik Pietrasz, Józef W. Krauze, Adam hr. Starzeński, Podoficerski Klub Łowiecki Garnizonu Grodno, Leopold Pac-Pomarnacki, Walerjan Strzemiński, Piotr Jacyna, Władysław Sassulicz, Władysław Mineyko, Powiatowe Tow. Łowieckie w Święcianach, Jan Opolski, Józef Pawłowski, Wacław Normand, Stanisław Wodziński, Michał Szczepański, Gustaw Szablowski, Władysław Gürtler, Michał bar. Moysa Rosochacki, Stanisław Moffe, Siedleckie Kółko Racjonalnego Polowania Z. Makarski, Julian Laskowicz, J. Stark, Nadleśnictwo Oszmiańskie, Stanisław Sozański, Nadleśnictwo Biały Brzeg, Nadleśnictwo Inklaryskie, Oficerski Klub Łowiecki Garnizonu Grodno, Mieczysław Mazur, Jan Rutkowski, Konstanty Komierowski, Jan hr. Tyszkiewicz, Marja hr. d'Ekse, Marjan Bilanow, Nadleśnictwo Wiszniew, Władysław Wińcza, Oficerski Klub Łowiecki Garnizonu Wilno, Małopolskie Tow. Łowieckie, Tow. Łowieckie pracowników Dyrekcji Lasów Państw. w Wilnie, Wydawnictwo „Łowiec Polski”, Fryderyk Burzmiński, Karol Bergfried, Tow. Łowieckie w Szczuczynie Lidzkiej, Saturnin Mravinesics, Stefan Pawlikowski, M. d'Eberhardt, Tadeusz Straszewski, J. Robaczewski, Sekcja Łowiecka Koła Leśników Studentów S.G.G. W. w Warszawie, Mieczysław Goryniowski, Aleksander hr. Iliński-Kaszowski, Bohdan Bujwid, Antoni Wojtyra, Janusz Piotrowski, Stanisław Woszczyński, Zarząd Gminy Dunilowickiej,

Adam Herman, Józef Bisping, Władysław Werner, D. Strugacz, Jan Kazimierz Korab-Karpowicz, Edmund Ryl, Mikołaj Cichocki, Józef Borkowski, Janina Klawe, Stanisław Dylewski, Janusz Klerykowski, Antoni Nowicki, Grodzieńskie Tow. Myśliwskie, Przemysław Pawlikowski, Mieczysław Mniszek-Tchorznicki, Irena Krzyżanowska, Klub Myśliwski Koła VI Baonu I Brygady Leg. Pol., Gracjan Czyżewski, Olgierd Borkowski, Jan Łukowicz, Koło Łowieckie Baonu Szkolnego Piechoty w Zambrowie, Łuckie Tow. Łowieckie, Pińskie Kółko Myśliwskie, Wojewódzkie Koło Łowieckie w Łucku, Powiatowe Towarzystwo Łowieckie w Baranowiczach, Jan Radecki-Mikulicz, Wołyńskie Stowarzyszenie Łowieckie, Antoni Żurkowski, Polskie Stow. Myśliwskie „Tur” w Wilnie, Kółko Łowieckie w Dęblinie—Lotnisko, Towarzystwo Prawidłowego Myślistwa w Olkuszu, Stefan Pluskota, Stefan Rózecki, Henryk Dąbrowski, Kaliskie Towarzystwo Prawidłowego Myślistwa, Julian Bohusz, Teresa Zaleska, Antoni Rychłowski, Antoni Cieślak, Zakład Łowiectwa i Rybactwa Uniwersytetu Poznańskiego, Stanisław Kielczewski, Alfons Iliewicz, Władysław Chromiński, Edwarda Horwattowa, Władysław Dzydziński, Józef Miedziński, Koło Myśliwskie przy Związku Zawod. Prac. Ubezp. Społ. w Chrzanowie, Jerzy hr. Mohl, Jan Stypa, Władysław Bliństrub, Bolesław Dalbor, Roman Głębocki, Brunon Bochwic, Wojciech Grodziński, K. Szeptycki, Małopolskie Tow. Łowieckie — Oddział w Krakowie, Julian Grodzicki, Kasyno Oficerskie 3 p. s. k. w Wołkowysku, Władysław Szubert, Jan Jabłoński, Stanisław, Jasiukowicz, kpt. Rybicki, Mieczysław Lissowski, Mieczysław Zabłocki, Pułk. Biskupski, Apteka Antoniego Bronisza, Jan Podgórnny, Antoni Dawbor-Markiewicz, Ludwik Kugler, Kazimierz Żywanowski, Leon Wołodkowicz, dr. Dogonowski, Walerjan Karnauchow, Józef Mianowski, Czesław Czerwiński, E. Frankiewicz, M. Grzelichowski, Wiktor Niedźwiecki, Kazimierz Motylewski, Stanisław Łobos, Rada Łowiecka Powiatowa w Dubnie, Tadeusz Bodakiewicz, Michał Kozłowski, Adolf Załęski, Tow. Prawidłowego Myślistwa w Chełmie, Mikołaj Bujewski, Władysław Gordon, Bolesław Mikulski, Eugenjusz Radwan-Okuszek, Jan Dłużniewski, W. Bilczyński, Koło „Knieja” w Radomiu.

Józef Hartman, Aleksander Pawłowicz, Andrzej Dobrski, Kazimierz Tarnowski, Józefat Sawymowicz, Włodzimierz Mineyko, Jan Korwin-Pawłowski, Koło Myśliwskie urzędników Ministerstwa Rolnictwa w Warszawie, Przemysław Wroczyński, Powiatowa Rada Łowiecka w Kowlu, Władysław Markiewicz, Wacław Sziperling, Marjan Fitaszewski, Eugenjusz Sielski, Jan Bujakowski, T. Jegier, Tadeusz Wójcik, Stanisław Sipowicz, Kazimierz Strzembosz, Antoni Dworzecki-Bohdanowicz, Wincenty Łuczyński, Józef Łastowski, Wacław Podhorski, Konrad Borowski, Stanisław Rogiński, Wacław Dankiewicz, Władysław Wichłowski, Rada Łowiecka Powiatowa w Horochowie, Bolesław Korsak, Jan Opolski, Zdzisław Korab-Karpowicz, Kazimierz Borajkiewicz, Witold Skinder, Ludwik Butarewicz, Feliks Czaplicki, f. „Gubryniewicz i syn” we Lwowie, Eugenjusz Polczyński, Jerzy Zdrojewski, Tadeusz Brzeski, Jadwiga Pytłasińska, Stanisław hr. Łopaciński, Janusz hr. Rozwadowski, Bolesław Soroko, Franciszek Cabanowski, Zarząd dóbr Zawiszcze K. W. hr. Pusłowskiego, Karol Borucki, Adam Giżyński, Walery Warzecha, Jan Kędzierski, Marja Wolczaska, Zdzisław Wolski, hr. Kurnatowski, Stefan Łabęcki, Edward Arcimowicz, Antoni Erdman, Jerzy Sztark, Antoni Sykora, Antoni Gmerek, Janusz Wasilewski, Sylwin Bienkowski, E. Winnicki, Nadleśnictwo

Usza, Nadleśnictwo Ignalino, Nadleśnictwo Szczuczyn Nowogródzki, Nadleśnictwo Troki, Nadleśnictwo Stalpcy, Nadleśnictwo Kiena, Nadleśnictwo Duniłowicze, Nadleśnictwo Wilno, Nadleśnictwo Nowa Wilejka, Nadleśnictwo Smorgonie, Antoni Downarowicz, Jan Zawirski, Tadeusz Żemoytel, Mieczysław Kulesza, Elżbieta Walicka, Witold Kownacki, Henryk Karczewski, Witold Turkałło, Edward Woynicki, St. Nałęcz, Stanisław Kielczewski (Wojew. Lwowskie), Bolesław Szostakowski, Jan Podgórnny, Michał Knippel, Roman Zenkteler, Tadeusz Fedorowicz, Konstanty Rouba, Bolesław Gołyński, Olgierd Czarliński, B. Alchimowicz, Witold Tyszewicz, M. Świda, Tadeusz Matuchniak, Henryk Rudzki, Stefan Krupski, K. Staszewicz, Marjan Hubert Obniski, Wiktor Święcicki, Aleksander Żyłko, Wacław Lemiszewski, Piotr Olewiński, Zygmunt Karnicki, Maciej Przychocki, Eugenjusz Przeździecki, Paweł Czechowicz, St. hr. Czarnecki, Stanisław Dembowski, Władysław Cywiński, Witold Pawlikowski, Stanisław Łazuk, Koło Łowieckie Św. Huberta w Kielcach, Marjan Buczyński, Stefan Kwinto, Tadeusz Ertman, Henryk Kuc, Sportowe Tow. Łowieckie w Wilnie, Stefan Juściński, A. Tarnowski, Franciszek Melkis, Mieczysław Zgorzelski, Józef Janicki, Leon Żochomski, Benedykt Dzenajewicz, Tomasz Trynkowski, Karol Bohdanowicz i Józef Tymiański.

S
U
K
N
A

FUTRA Włodzimierz PIKIEL

Wilno, Wielka 7. Telef. 11-55

Bezpośredni import z miejsca pochodzenia.
Wysokie gatunki. Niskie ceny.

B
Ł
A
W
A
T

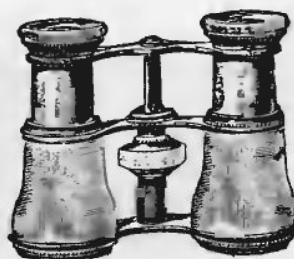
ZAKŁAD OPTYCZNY J. IWASZKIEWICZA

WILNO

Wileńska 25

(dawniej Ostrobramska 15)

poleca dla P.P. Myśliwych specjalne lornetki turystyczne oraz artykuły optyczne



WŁADYSŁAW BORKOWSKI

= Skład papieru i materiałów piśmiennych =
Ad. Mickiewicza 5. Telefon 372.

SPECJALNE DZIAŁY:

- Malarsko - Kreslarski
- Ram Obrazów i Zabawek

WILNO

Firma nagrodzona Wielkim medalem srebrnym na Wystawie Rolniczo-Przemysłowej w Wilnie w roku 1928



O. MATKIEWICZ

od 5 zł. wzwyż oraz wykonywa wszelkie reperacje w zakres zegarmistrzostwa wchodzące.

dawn.
K. Gorzuchowski

Wilno, ul. Zamkowa 9

poleca w dużym wyborze zegary i zegarki



Każdy Myśliwy kulturalny winien posiadać podręcznik fachowo-łowiecki
Inż. BOLESŁAWA ŚWIĘTORZECKIEGO

p. t.

PODSTAWY ŁOWIECTWA
ORAZ
ZARYS TEORJI STRZAŁU ŚRUTOWEGO

218 + IV str. tekstu z 32 ilustracjami.

Cena zł. 8.—.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI JÓZEFA ZAWADZKIEGO W WILNIE



Pracownia
Przyrodnicza

WACŁAWA
SZCZURSKIEGO

Wilno, Ś-to Jańska 7

Wypychanie zwierząt i ptactwa, garbowanie
skór, oprawa rogów
i wyrób dywanów

TEKTUROWNIA
WAKA
MUROWANA

JANA H. TYSZKIEWICZA

pocztą i st. kol. Landwarów
tel. Wilno 14-08

OBRUSY LNIANE WORKI ZBOŻOWE
RĘCZNIKI LNIANE i inne ARTYKUŁY Z PŁÓTNA
KOSZULE LNIANE LNIANEGO WYROBU
PŁACHTY ŻNIWNE SAMODZIAŁOWEGO

dostarczają

BAZARY PRZEMYSŁU LUDOWEGO

w Wilnie, Nowogródku, Białymstoku, Brześciu n./B. i Łucku.

Po oferty i próbki zwracać się pod adresem:

Wilno, Poznańska 2. Tel. 13-47.

Oddziały: WARSZAWA, Aleje Jerozolimskie 29
POZNAŃ, Fredry 6

Sprzedaż w Wilnie, ul. Zamkowa 8, telef. 16-29.

I. PRUŻAN egz. od 1890 r. w Wilnie,
UL. MICKIEWICZA 15, vis-a-vis HOT. GEORGES.
Wykwintna perfumerja i galanterja skórzana.
Artykuły toaletowe i podróżne.
Najlepsze latarki elektryczne.
Wszelkie nowości i wynalazki.

JEDYNIE FARBY MALARSKIE
nabyte w SKLEPIE FARB

F. RYMASZEWSKIEGO

Wilno, MICKIEWICZA 35

dają 100% gwarancji towarów.

JEDZ RYBY — BĘDZIESZ ZDRÓW JAK RYBA



*Żołnierz strzela, rolnik orze,
Rybak krąży po jeziorze.
Byś ty spożył dary Boże.
Jedz na obiad, na wieczerzę
Ryby zdrowe, tanie, świeże.*

„ŁOWIEC POLSKI”

Organ Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich

Adres: Warszawa, Nowy Świat Nr. 35

Konto czekowe P. K. O. Nr. 8082.

W „Łowcu Polskim” bije tętno polskiego życia łowieckiego, znajdują swój wyraz jego radości i smutki, a przede wszystkim na jego łamach odzwierciedla się **łowiecka myśl polska**, z dnia na dzień głębsza, uporczywie dążąca do swoich celów, niezrażająca się przeciwnościami, samodzielna i rozważna. Niejedno wybitne zwycięstwo tej myśli złotymi głoskami zostało zapisane na łamach „Łowca Polskiego”. „Łowiec Polski” jest organem wszystkich myśliwych Polski.

Dookoła „Łowca Polskiego” zgromadzili się wszyscy najwybitniejsi pisarze łowieccy z całego kraju, których „Łowiec Polski” stał się trybuną.

„ŁOWIEC POLSKI” zamieszcza artykuły ze wszystkich dziedzin, dotyczących łowiectwa, beletrystykę łowiecką, wiadomości bieżące, odzwierciedlające życie łowieckie w poszczególnych częściach Rzeczypospolitej, wskazówki prawne, fachowe i t. d.

„ŁOWIEC POLSKI” jest ilustrowany coraz piękniejszymi zdjęciami, robionymi przez myśliwych, jego czytelników.

„ŁOWIEC POLSKI” pod względem poziomu konkuruje skutecznie z podobnymi wydawnictwami innych krajów.

„ŁOWIEC POLSKI”, jako organ Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, jest wydawany przezeń nie dla zysku, lecz w celu popierania rozwoju stosunków łowieckich w Polsce i ich należytego odzwierciedlania.

„ŁOWIEC POLSKI” wychodzi 3 razy na miesiąc, przyczem objętość każdego numeru stanowi 20 kolumn druku.

Cena prenumeraty „Łowca Polskiego” wynosi zł. 28 rocznie, 15 zł. półrocznie, 7.50 zł. kwartalnie i 2.50 zł. miesięcznie.

Dalszy rozwój pracy i wysiłków Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich i jego organu „ŁOWCA POLSKIEGO” jest zależny od poparcia jak najszerszych kół łowieckich w Polsce, którym interesom służy.

Myśliwi!

Czy znacie swą naczelną Organizację?

POLSKI ZWIĄZEK STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH, który już tak wiele zdziałał dla rozwoju rodzimego łowiectwa i dla Waszych osobistych interesów, związanych z wykonywaniem prawa polowania. **ZAPISUJCIE SIĘ NA CZŁONKÓW**

POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH za pośrednictwem rejonowych Oddziałów Związku.

Jako członkowie Związku, uzyskujecie prawo otrzymywania fachowych porad i wskazówek, oraz wszelkie ułatwienia w zakresie Waszej działalności łowieckiej.

Adresy:

Centrali: **Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich** Warszawa, Nowy Świat Nr. 35.

- Oddziałów: 1) Małopolskie Towarzystwo Łowieckie Oddział P.Z.S.Ł. na Województwa: Krakowskie, Lwowskie, Stanisławowskie i Tarnopolskie. Lwów, Ossolińskich Nr. 11.
2) Polskie Towarzystwo Łowieckie Oddział P.Z.S.Ł. na m. st. Warszawę i Województwa: Kieleckie, Lubelskie, Łódzkie, Poleskie i Warszawskie. Warszawa, Nowy Świat Nr. 35.
3) Pomorskie Towarzystwo Łowieckie Oddział P.Z.S.Ł. na Województwo Pomorskie. Toruń, Sienkiewicza Nr. 10.
4) Śląskie Towarzystwo Łowieckie Oddział P.Z.S.Ł. na Województwo Śląskie. Katowice, Słowackiego Nr. 15.
5) Towarzystwo Łowieckie Ziemi Wschodnich Oddział P.Z.S.Ł. na Województwa: Nowogródzkie i Wileńskie. Wilno, Mickiewicza Nr. 11.
6) Wielkopolski Związek Myśliwych Oddział P.Z.S.Ł. na Województwo Poznańskie. Poznań, Młyńska Nr. 9.
7) Wojewódzka Rada Łowiecka Oddział P.Z.S.Ł. na Województwo Białostockie. Białystok, Urząd Wojewódzki.
8) Wołyńskie Stowarzyszenie Łowieckie Oddział P.Z.S.Ł. na Województwo Wołyńskie. Łuck, Mickiewicza Nr. 5.

Leśniczy-łowczy poznańczyk, lat 40, żonaty, 3 dzieci (8—12), język polski i niemiecki, wysłużony wojsk. armii niem. i pol., były żand. wojsk., 18 lat praktyki zawodowej, grunt. obeznany z wszelkimi gałęziami, wchodzącymi w zakres swego zawodu: hodowli zwierzęcy, sztucznej hodowli bażantów, łapania zwierzęcy w celach eksportowych, obecnie na niewypowiedzianej posadzie na większym terenie leśnym, pragnie takową zmienić. Jako miłośnik hodowli obejmuje posadę łowczego na większych terenach łow. Za pracę hodowlaną i skuteczną walkę z kłusownictwem odznaczony przez P. Z. S. Ł., na wyniki swej hodowli może podać dowody. Komu zależy na podniesieniu zwierząt, oczyszczeniu plagi kłusowników, proszę z całym zaufaniem złożyć ofertę do Towarzystwa Łow. Ziemi Wschodnich pod „Energiczny”. Powołać może się na osoby wiarogodne.

DZIERŻAWY TERENÓW ŁOWIECKICH

Ciekawe tereny hodowlane: PUSZCZA NALIBOCKA — 25000 ha,
PUSZCZA BAKSZTAŃSKA — 8000 ha,
NADLEŚNICTWO MUSTEJKI — 10000 ha,

ODSTRZAŁY INDYWIDUALNE

Głuszcze — można zawczasu zakupywać odstrzał na rok lub więcej.

UDZIAŁY W PŁATNYCH POŁOWANIACH NAGANKOWYCH
na dziki, kozły, sarnie, bielaki.

Informacje: WILNO, UL. WIELKA 66,
pokój Nr. 12, telefon 12-79

Dyrekcja Lasów Państwowych.

Istnieje
od 1880 r. ||

ZAKŁAD

|| ZŁOTE
MEDALE

preparowania i wypychania
zwierząt i ptactwa,
wyprawa skór

Ryszard Łodziński

ul. Garbarska 1,
Wilno

SKŁAD BRONI

F. ZIENKIEWICZA

WILNO

Ś-to JANSKA 9



poleca broń i
przybory
myśliwskie
po cenach ściśle
fabrycznych.

DOBRY STRZAŁ i DOBRE WINO
gwarantują

dobry humor myśliwego

Kto próbował, ten się przekonał, że

WINA WYTWÓRNI

W. Osmołowskiego w Wilnie

są STARE, LEŻAŁE, MOCNE i ZDROWE.

Do nabycia w sklepach winno-spożywczych.

NAJLEPSZE i NAJZDROWSZE
MLEKO
i PRZETWORY MLECZNE

można otrzymać tylko

w

ZRZESZENIU PRODUCENTÓW

NABIAŁU Spółdzielni z odpowiedzial-
nością udziałami

W WILNIE • UL. PIŁSUDSKIEGO Nr. 13

na zamówienie osobiste, pisemne i telefoniczne.

Hurt i detal. Tel. 22-22. Skrót telegraf.: „Nabiał”.

